№ 9 Warszawa, dnia 16 (28) Lutego roku 1880.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu zlr 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Podróż do kraju Cyganów,

PRZEZ

Wiktora Tissot.

Parowozy i parostatki, ułatwiające dziś możność podróżowania, wprowadziły nowy a obszerny dział do literatury francuzkiej. Wyznajmy jednak że z tych licznych obrazów jakie turyści francuzcy, sypią nam codziennie przed oczy, mało który uderzy wyobraźnię i silnie zarysuje się w pamięci naszej. Francuzi za nadto przejęci charakterem swej narodowości, aby mogli odtworzyć z całą prawdą obcy im przedmiot: uważaliśmy to nieraz na wystawach obrazów. Każdy portret cudzoziemca, każdy krajobraz obcej okolicy, nosi tu zawsze wyciśnięte francuzkie piętno. Toż samo dzieje się w literaturze: pod ręką francuzkiego tłumacza, Szekspir przestaje być anglikiem, Petrarka włochem, Cerwantes niepodobny do Hiszpana, ani Tyner do Szweda: pokost fraucuzki wszystko zrównał, wszystko jakoś ujednostajnił. Cóż się więc dziwić, że przy tak silnym wyrobie indywidualizmu narodowego, francuzki podróżnik nie umie bezstronnem okiem patrzeć na cudze kraje, że opisując je pomija tysiące drobnych odcieni, stanowiących właściwy im charakter.

Wyjątek w tym względzie stanowi młody pisarz Wiktor Tissot, autor *Podróży, po kraju miliardów*, i innych wędrówek po różnych stronach Niemiec, tak północnych jak południowych. Nigdy jeszcze cała przestrzeń krajów niemieckich, od płaszczyzn nadbaltyckich po Alpy, nie przedstawiła się francuzkim czytelnikom w barwach tak jaskrawych i żywotnych jak pod piórem Tissota. Stąd też cztery dzieła jego rozchwytane zostały w oka mgnieniu, sama podróż po kraju miliardów liczy do pięćdziesięciu wydań.

Zachęcony powodzeniem, autor postanowił zwiedzać kolejno inne kraje. Przed rokiem przebiegł Węgry, wkrótce jak nam powiedział, ma zamiar poznać i opisać różne okolice kraju Polskiego. My z naszej strony zapewniliśmy go że Warszawa z niemniejszą gościnnością przyjmie znanego sobie turystę, jak go niedawno przyjmował Peszt i Agram.

Świeżo wydane dzieło Tissota, nosi tytuł: *Podróż po kraju Cyganów.* Fantastyczny to tytuł, gdyż w ciągu dzieła parę razy ledwie spotkamy się z Cyganami, a Tissot za nadto biegłym jest etnografem, aby miał podciągnąć pod to wędrowne plemię, tak madziarskie jak i kroackie ludy, któremi zajmuje się w ostatniej pracy swojej.

Główną zaletą młodego podróżnika, jest niesłychane bogactwo fantazyi. Umie on ożywić i ubarwić, każdy najdrobniejszy przedmiot. Zbyteczny pośpiech nie pozwala mu niekiedy zbadać rzeczy do gruntu; czasami dla zyskania łatwych oklasków, rzuci jakiś nazbyt jaskrawy zarys, mimo to musimy przyznać mu wielki talent obrazowania, a co więcej szczere współczucie dla każdej szlachetnej idei. Z pod pióra jego tryska jakieś żywotne ciepło, zniewalające mu czytelników.

W podróży po Węgrzech równie jak i w poprzednich pracach, Tissot kreśli szereg rodzajowych obrazków. Nie zdeptał on wzdłuż i w poprzecz całych Węgier, mnóstwo części pozostawił na ten raz w cieniu, zapewne wróci do nich; główne światło skierował dziś na Dunaj i okoliczną ludność. Zobaczymy oto jak maluje tę wielką rzekę, tak słynną w dziejach światu, tylekroć wspominaną w starych kronikach naszych.

Od Presburga, mówi Tissot, Dunaj przybiera majestatyczną postać króla rzek europejskich; dotąd szamotał się istny niewolnik w głębi ciemnych a skalistych wąwozów. Już u samej kolebki, Alpy szwajcarskie duszą go swym ciężarem; dalej Alpy Tyrolu i Styryi zastępują mu drogę; to go pchną z południa na północ, to zwrócą ku południowi, trzymając go w kamiennych kleszczach, aż po za mury Wiednia. Tu dopiero, u wrót wschodu, rzeka rozkiełznana z pęt; najeża falistą grzywę, roztacza się szeroko, ogarniając ramiony, mnóstwo wysp i zielonych ostrogów.

Przy ujściu Raaby, Dunaj zwolniwszy bieg swój, zakreśla wielkie koło, i szeroką zalewa przestrzeń niby zatoka morska. Po prawej ręce z wierzchołka panońskiej góry Klasztor ś-go Marcina panuje nad płaszczyzną; miasto Raab otacza go u podnóża wieńcem białych domów i kwitnących ogrodów. Wioski rozrzucone tu i owdzie, wśród łąk i pól falujących kłosami, tworzą obraz prawdziwie malowniczy.

Lewy brzeg inną całkiem przedstawia postać. Tu po rozległym stepie, kroczą pomału gromady bydła pod strażą Guliasów, w ogromnych czarnych kapeluszach, wysokich butach, w guni wyszywanej we wzory, ptactwo wodne o barwnem pierzu, podlatuje w górę z pomiędzy trzcin, karłowatej wierzby; czaple na wysokich nogach, stoją zadumane u brzegu, śledząc okiem nadpływająca rybkę.

Cóż to za mnóstwo promów, łodzi i czułen, to przybija do lądu to odpływa z przystani. Długi szereg młynów na łyżwach, połączonych łańcuchami, ciągnie się niby wioska zbudowana na rzece koła raźno klekocą; pełno ruchu i gwaru.

Parowiec rusza dalej. Gdzie rzucisz okiem, niezmierzone widzisz przestrzenie. Tu, rozstrzygały się losy świata!... żywioły staczały tu niegdyś zaciętą walkę z sobą, zaczem przygotowały ludom pola do olbrzymich zapasów. W początkach dziejów, Dunaj tworzył tu ogromne jezioro, połączone z dalszemi jeziorami, szeregiem skalistych katarakt Grecy pierwsi dotarli w te pustkowia nieznane światu, w siódmym wieku przed erą naszą. Zwał

opok zachodzący z obu stron w rzekę, nazwali wrotami żelaznemi. Po za tą ścianą kamienną, kryło się według nich zdrojowisko, podsycające prądy jeziora: dali mu nazwę *Ister*. Bujna fantazya Ateńczyków, zaludniła te skały, chmarą druhów i potwornych widziadeł.

Rzymianie zuchwalsi od Greków, opanowawszy Helwecyą, odkryli wkrótce rzeczywiste źródło Dunaju.

Powódź rzymska szła zwolna z biegiem rzeki; wślad jej wyrastały szeregiem warowne grody i nadbrzeżne zameczyska. Po za *Windibonę*, dzisiejszym Wiedniem, błyszczał wspaniały gród *Carnuntum*, którego gruzy sterczą dotąd w pobliżu Prezburga. Słynny ten gród, był głównem ogniskiem handlowej potęgi państwa. Cezary założyli tu stolicę, na głos ich wybiegały z pod ziemi pałace i fermy, świątynie i amfiteatra. Tyberyusz zbudował tu most i łuk tryumfalny. Dyoklecyan złożył tu koronę; ztąd pisał do Maksymiana: „Gdybyś wiedział jak pięknie wschodzi kapusta, posiana ręką moją, jużbyś nic nie wspominał o cesarstwie! Carnuntum, nie ustępował Akwilei, ani innym nadmorskim portom. Sieć bitych gościńców łączyła go z Adryatykiem.

Przez cztery wieki Rzym wszechwładnym był panem Dunaju. Zagarnąwszy kolonie greckie w Azyi mniejszej, pochwycił garść osady nad Isterem, były to klucze od bram wschodu. Zamki i warowne obozowiska rzymskie, po prawym brzegu rzeki, trzymały bacznie czaty nad lewym brzegiem: tam ciągnął się świat inny, świat dziki i nieznany, tam koczowały hórdy barbarzyńców, gotowe rzucić się na zachód, zalać Rzym, zdusić ognisko cywilizacyi. Jakoż przyszedł dzień kiedy Cesarstwo wyczerpane z sił, nie mogło już stawić zapory, napływającym hordom, Gotów, Allanów, Longobardów. Ze szczytu warownych zamczysk, legioniści patrzyli z przestrachem na te wzbierające fale barbarzyńskiego świata, parte naprzód niepowstrzymaną siłą, jakby Azya waliła się na Europę!

Napróżno Rzymianie, burzą mosty, łączące dwa brzegi Dunaju. Hunny rzucają się wpław, brną przez rzekę, to konno, to na tratwach. Ziemia drży pod kopytem ich bachmatów... pędzą jak wichrem gnani! Legiony uciekają w popłochu, na widok tych ludzi z płaskim nosem, o wydętych policzkach, odzianych w skóry zwierząt, karmiących się jak wilcy krwawem padłem.

Po stosie trupów, przez kałuże krwi, otoczony łuną pożarów, mknie Attyla, straszny bicz Boży! gdzie stąpi koń jego, tam nie porośnie trawa!... Ludy skamieniały z przestrachu krwawa powódź zalała Europę.

Przez pięć wieków, gruby mrok barbarzyństwa pokrywa wybrzeża Dunaju. Karol wielki nareszcie roznieca tu iskrę zgasłej cywilizacyi, jak ją rozniecił już nad Renem. Handel rozwija się, floty kupieckie żeglują po falach zbyt długo zaniedbanych; Europa zawiązuje nowe węzły z Azyą.

A oto czarna chmura wzbiera znów na widnokręgu. Chmura ta rośnie, zbliża się coraz groźniej, wyrzuca z siebie nową powódź. Z dalekich stepów Azyi, pędzą na zachód groźne hordy, sieją w koło mord i pożogę. To Madiary... lud fińskiego plemienia, koczowniczy z Uralu, przepłynęli Wołgę na zbitych beczkach, rozbili namioty na szerokiej przestrzeni po nad Donem. Cesarz Arnulf posłyszawszy cudą o męztwie tych drużyn, powołał je do służby; z ich to udziałem, zburzył Wielką Morawią, pierwszy związek ludów słowiańskich, sprzężony prawicą Światopełka.

Po zwycięztwie Madiary cofnęli się na koczowiska swoje, lecz droga do Dunaju stała już otworem przed nimi. Wrócili tu niebawem, wiodąc z sobą wozy i namioty, żony, dzieci i niezliczone stada. Ziemia naddunajska była dla nich nietylko ponętnym łupem, lecz i nową do zdobycia ojczyzną.

Zdobyli ją Madiary; ale odurzeni wojennym szałem nieprędko spocząć mieli w swem naddunajskiem gnieździe. Hordy ich z ogniem i mieczem, przebiegają niemieckie kraje, zapędzają się do Włoch i Francyi, zostawiając za sobą rzeki krwi, zgliszcza zburzonych grodów. Święty Stefan umiał przecież powściągnąć żartkie zapędy ludu swego: apostolskie trudy króla bujny wydały owoc. Madiary odrodzeni chrztem, zwijają koczownicze namioty, przykładają rękę do pługa. Żegluga na Dunaju rozwija się szybko; wojny krzyżowe nowy jej dają rozrost. Niemieckie i holenderskie miasta wyprawiają tą drogą na wschód płody wytrwałej pracy swojej, odbierają w zamian drogocenne skarby Arabii i Hindostanu!

Krótko to przecież trwało. Nowa chmura wzbiera na krańcach Europy, nowy Attyla w postaci Batuchana wlecze za sobą, straszliwe ćmy Mongołów. Grody poszły w perzynę. Krwią pociekły wody Dunaju!

Ledwie że ustąpili Tatarzy, a straszliwsza jeszcze powódź zalewa kraje naddunajskie. Na polach Warny rozpoczyna się krwawa krucyata, co ma przetrwać dwa wieki. Ziemia węgierska staje się olbrzymiem cmentarzyskiem, po zgliszczach miast, po ziemi przesiąkłej krwią, zasianej kośćmi walecznych, Turcy brzegiem Dunaju, kroczą a kroczą coraz dalej, posuwają się tryumfalnie do bram Wiednia. Tu zastąpił im drogę ostatni król krzyżowiec, nieśmiertelny Sobieski! Pogromca olbrzymiej potęgi Ottomanów, on pierwszy przyłożył siekierę do korzenia: reszty miały dokonać przyszłe czasy!...

(d. c. n.)

Z wycieczki w góry, Hejneg'o.

I.

PROLOG:

Modny fraku, szapoklaku,
Rączko biała, gorsie biały,
Czułe słowa i uściski—
Oh, gdybyście serca miały!

Serca w piersiach i tej świętej,
Tej miłości w sercach tyle...
Oh, zmęczony pieśni skargą
Słuch mój niech odpocznie chwilę.

Ja chcę wznieść się na gór szczyty!
Skromne chatki tam bieleją,
Tam swobodniej pierś oddycha,
I zdrowsze tam wiatry wieją.

Ja chcę wznieść się na gór szczyty,
Gdzie jodłowe lasy drzemią,
Szumią wody, nucą ptaki
I graniczą chmury z ziemią.

Żegnaj salo wymuskana,
Wymuskany kawalerze!
Lecę w góry by z gór szczytów,
Patrząc na was, śmiać się szczerze.

II.

NA HARDENBERG'U

Oh, witajcie marzeń roje!
Serce, otwórz skarbiec twój!
Pieśni słodycz i łez żałość—
W jeden się zlewają zdrój.

Idę kędy potok płynie,
Wśród szpilkowych gęstych drzew,
Widzę pyszny róg jelenia,
Słyszę znany drozda śpiew.

Ja chcę wznieść się na gór szczyty,
Na wysokie ostrza skał,
Kędy widać z ruin szarych,
Że tam dawniej zamek stał.

Tam chcę usiąść by wśród ciszy,
Nurka dać w przeszłości toń!
Żyło tutaj dzielne plemię,
Świetność należała doń!

Mech pokrywa plac turniejów,
Gdzie zwyciężał mężny człek,
Za nagrodę biorąc sławę,
Która długi żyła wiek.

Powój pnie się na krużganek,
Z którego to oczów grą—
Zwyciężony był zwycięzca
Wraz z potężną siłą swą...

Zwyciężcę, zwyciężycielkę—
Zwyciężyła śmierci dłoń!
Przed tą wiedźmą laskonogą
Wszystko, wszystko składa broń.

Henryk Kwiatkowski.

EUGENIA LAWAL.

powieść z życia społeczeństwa francuzkiego

napisana oryginalnie

przez

Kazimierza Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

Pod wpływem niezwykłego wrażenia, powstał z zajmowanego krzesła z kielichem w ręku, zamierzywszy wyrazić wdzięczność młodzieży, stawiającej go w dniu dzisiejszym na stopie zupełnej równości z sobą. Na nieszczęście zbywało mu zawsze na rozumie i umiejętności właściwego zachowania się w towarzystwie. Przy wzruszeniu więc i po wypiciu znacznej ilości wina, objawy powyższych niedostatków, były jaskrawszemi niż zazwyczaj.

— Panowie! mówił on z zająknieniem, towarzyszącem prawie każdemu słowu, zrobiliście mi wielki zaszczyt... wznosząc toast za moje zdrowie... Radbym wam powiedzieć... radbym wam wyrazić... radbym przelać w wasze serca...

Pigrenier nagle uciął rozpoczętą mowę. Wątek myśli nawiązany w jego biednej głowinie przerwanym został. Nie wiedział zupełnie co chciał powiedzieć, co chciał wyrazić, co chciał przelać w serca zebranych gości?

Ze wstydu zaczerwieniony jak burak, krząkał w najrozmaitszy sposób, chcąc ukryć niemożność znalezienia odpowiedniej myśli. W rozpaczliwem położeniu szukał środka ratunku u swego

przyjaciela, rzucając ku niemu błagalne spojrzenia.

Pomimo zmieszania dostrzegł na twarzy John Waksfelda wyraz smutku i widocznego niezadowolenia. Stan podobny był niezwykłym, bo szanowny Amerykanin przy wszelkiego rodzaju ucztach, zachowywał nader wesołe usposobienie. Nic innego, myślał Pigrenier, tylko zacny mój przyjaciel jest obrażony, za pominięcie jego osoby przy wzniesionych toastach. Tymczasem on jest głównym powodem wyprawionej uczty. Trzeba mu więc wynagrodzić doznane uchybienie, w chęci zaskarbienia sobie na przyszłość jego rad i moralnej opieki, dającej mi między młodzieżą coraz większe uznanie.

Pod wpływem tych myśli, zrobił nagły zwrot w swem przemówieniu do osoby John Waksfelda, nabierając szczególnej łatwości słowa, różnej zupełnie z dotychczasowem jąkaniem.

— Wypiliście panowie za moje zdrowie, mówił, ale dla czegóż pomijacie mego przyjaciela John Waksfelda. Bez niego nie byłoby ani śniadań, ani obiadów znajdujących coraz większe wasze uznanie. Dawniej unikaliście mnie starannie; taki stan rzeczy pewno do dziś dnia nie byłby zmieniony, gdyby nie John Waksfeld. Rady przez niego udzielone mi były zupełnie prawdziwe. Drogą żołądka, mówił on, trafia się najpewniej do serca. Uczyń twoją kuchnię i piwnicę słynnemi, a gromady znajomych i nieznajomych przyjmować będą udział w ucztach przez ciebie wyprawianych. Śniadanie dzisiejsze przygotowane było pod jego bezpośrednim nadzorem, a nawet własną ręką urządził majonez, turbot i leguminę.

To rzecz niemała panowie! Mój przyjaciel John Waksfeld posiada ogromne dobra we wszystkich pięciu częściach kuli ziemskiej; kapitały jego są niepoliczone, i z wyjątkiem tylko dygnitarzy francuzkich połączonym jest najściślejszemi stosunkami przyjaźni ze wszystkiemi ministrami i ambasadorami zagranicznemi; tymczasem jakby zwykły kucharz z profesyi, przywdziewa fartuch i szlafmycę, jedynie tylko w celu sprawienia przyjemności waszemu podniebieniu. Zasługa moja niewielka bo dostarczam tylko pieniędzy na konieczne wydatki spowodowane waszem przyjęciem. Główną zaś podstawą naszych zebrań jest zacny nasz przyjaciel. Raczcie więc panowie wznieść toast na jego cześć, a w przyszłości śniadania i obiady będą jeszcze smaczniejsze bo ja nie odmówię pieniędzy, a mój przyjaciel zdwoi usiłowania widząc, że ma do czynienia z ludźmi, umiejącymi ocenić talent i poświęcenie.

Z powodu wesołego usposobienia zebranych gości, przemowa powyższa zamiast obrazić wywołała śmiech nadzwyczajny i głośne oklaski.

Wszyscy powstali z miejsc; a czyniąc zadosyć życzeniu gospodarza, wśród żartów i różnego rodzaju dowcipów, wznieśli toast na cześć John Waksfelda.

Twarz szanownego Amerykanina wyrażała nader sprzeczne uczucia. Mowa bowiem Karola Pigrenier rozgniewała go nadzwyczajnie, a szczególniej zrobiona wzmianka o bezpośrednim nadzorze nad kuchnią. Bladł i czerwieniał na przemian; oczy jego jak sztylety przeszywały nieszczęsnego mówcę, chcąc zmusić go do milczenia. Usiłowania były daremne, niesmaczny gaduła wypowiedział do ostatniego słowa, wszystko co miał na sercu i na myśli.

John Waksfeld jako znający więcej świat i konieczne warunki przyzwoitości towarzyskiej, zawstydzony był nadzwyczajnie nietrafnem przemówieniem swego przyjaciela. Nie śmiał podnieść oczów na zebranych, nie wiedząc jaką wypada przybrać postawę. Na szczęście wzniesiony toast na jego cześć znalazł ogólne uznanie w zgromadzeniu. Spełniono go ochoczo przy odpowiednich okrzykach.

John Waksfeld był nieco pocieszony podobnemi objawami uznania ale mimo tego rad był zwrócić uwagę młodzieży w inną stronę, bo dochodzące go z różnych stron dowcipy drażniły go nadzwyczajnie.

Wstawszy więc z kielichem w ręku, przemówił w następujący sposób.

— Prowadząc dom własny urządzony na pierwszorzędną stopę, miałem zawsze doskonałych kucharzy i piwniczych. Samem więc doświadczeniem użycia, nabrałem różnorodnych wiadomości mających bezpośredni stosunek ze zmysłem smaku, będącym niezaprzeczenie najszlachetniejszą władzą człowieka. W ustawicznych zaś podróżach moich zawiązawszy stosunki z najbogatszemi rodzinami całego świata, szczególniej w towarzystwie cesarza brazylijskiego i szacha perskiego, doszedłem do niepospolitego wydoskonalenia. Najpotężniejsi monarchowie europejscy zasięgali rady mojej w przedmiocie stanowiącym główną podstawę szczęścia człowieka.

Wszystkie jednak ludy bez wyjątku, są barbarzyńcami w obec Francyi, tej prawdziwej gwiazdy przewodniej dla całej ludzkości. Stanąłem więc w pośród was szlachetni Francuzi nie wypadkowo ale umyślnie, bo jesteście uosobieniem każdego dobra i piękna. Jesteście słońcem ściągającem spojrzenia wszystkich, i cały rodzaj ludzki jest waszym moralnym hołdownikiem.

Huczne brawo było nagrodą mówcy, umiejącego trafić w najsłabszą stronę mieszkańców nadsekwańskich.

— Dobrze mówi, wołano ze wszystkich stron. Doprawdy dzielny człowiek. Niech żyje John Waksfeld!

Te i tym podobne wykrzykniki obiegały zebranie.

— Wzniesione były rozliczne toasty, mówił dalej John Waksfeld, pomiędzy jakiemi nie zapomnieliście i o mnie, za co wam składam najserdeczniejsze podziękowanie. Nikt jednak nie wspomniał o niewidzialnej czarodziejce, będącej głównym powodem wyprawionej uczty. Dostrzegam ciekawość narysowaną w waszych spojrzeniach, ale ta podniecona będzie jeszcze bardziej, gdy niektóre bliższe szczegóły, podane będą do waszej wiadomości. Skoro zobaczycie panowie wewnętrzne urządzenie pałacu stojącego naprzeciwko, to żądać będziecie jednomyślnie aby wymienionem było nazwisko piękności, dla której poczyniono przygotowania godne zaczarowanej królewny.

Przejdźmy więc do prawdziwego przybytku bogactwa i przepychu, mającego w niedalekiej przyszłości zostać rajem ziemskim dla dwóch serc, złączonych ogniwem miłości na wiele tygodni a może i miesięcy.

Tam wśród nagromadzonych tworów przemysłu i sztuki, będących chlubą XIX stulecia, wzniesiemy toast na cześć bogini, mającej być w przyszłości ozdobą uczt, wyprawianych przez gościnnego gospodarza.

Młodzież, zaciekawiona przemową John Waksfelda, chętnie uczyniła zadosyć wezwaniu przechodząc wśród gwaru rozmowy i wesołych śmiechów do tajemniczego pałacu, przygotowanego dla nieznajomej piękności.

Jakkolwiek umysły były usposobione do zobaczenia czegoś nadzwyczajnego, jednakże rzeczywistość przewyższyła najbujniejsze przypuszczenia.

Począwszy od przedsionka aż do salonów, od najdrobniejszych szczegółów aż do najważniejszych, wszystko odznaczało się bogactwem, przepychem i wykwintnym smakiem. Podziw zebranych gości był nadzwyczajny, bo wydatki, wyłożone na podobne urządzenie pałacu, potrzeba było liczyć na dziesiątki tysięcy. Wedle przepowiedni John Waksfelda, nieszczęsny Pigrenier urosł do stopnia bohatera w pojęciach zebranych gości.

Po obejrzeniu wszystkich części pałacu, myśli zebranych elegantów prostem następstwem zwrócone były ku przyszłej jego mieszkance.

Czyniono coraz bardziej nalegające pytania w chęci powzięcia wiadomości o jej nazwisku i dotychczasowem zamieszkaniu.

Karol Pigrenier byłby może i wygadał wszystko, ale spojrzenia John Waksfelda utrzymywały go na wodzy.

— Wymieńcie nazwisko, wołano ze wszech stron, bo doprawdy nie będziemy sypiać spokojnie, dopóki dręcząca nas zagadka nie będzie rozwiązaną.

Nie uczyniono jednak zadosyć ogólnemu żądaniu; tajemnica przechowaną była starannie; szanowny Amerykanin tylko uśmiechał się z zadowoleniem, skoro młodzież czyniła coraz śmielsze przypuszczenia dotyczące przyszłej mieszkanki pałacu. Żadnemu jednak z zebranych gości nie przyszła na myśl Eugenia Lawal. Zasłużyła ona widocznie na ogólny czacunek, i nie śmiano brudzić jej nazwiska najlżejszem podejrzeniem.

W trakcie tego roznoszono kielichy, napełnione winem szampańskiem.

— Panowie! zawołał John Waksfeld, wznoszę toast na cześć nieznanej wam bogini. Kto ona jest zobaczycie w niedalekiej przyszłości. Dzisiaj najśmielsze nawet przypuszczenia są dalekiemi od rzeczywistości. Określam ją w sposób ogólny. Przyszła mieszkanka pałacu będzie czemś nadzwyczajnem w swoim rodzaju.

— Oh! czemś nadzwyczajnem, odpowiedziała młodzież ze złośliwym uśmiechem, są to zwykłe gadania młodzieży, niemającej najmniejszej podstawy prawdziwej. We Francyi wszystko zostało zdemokratyzowaném, i nie ma nic nadzwyczajnego.

W tej chwili błysła pewna myśl w umyśle Amerykanina. Rzucił więc okiem po zgromadzeniu celem dojrzenia Augusta, zapalonego zwolennika zakładów, a podszedłszy ku niemu nieznacznie, zawołał głośniej niż zazwyczaj.

— Nie zmieniam zdania. Przyszła posiadaczka otaczającego nas przepychu, będzie czemś nadzwyczajnem w swoim rodzaju. Na poparcie mego zdania wyzywam was do zakładu panowie! Stawką niech będzie bagatela, naprzykład tysiąc dukatów.

— Trzymam zakład jak najchętniej, zawoła August ożywiony nadzwyczajnie tak niespodzianem wyzwaniem. Utrzymuję, że przyszła mieszkanka pałacu nie będzie żadną nadzwyczajnością w swoim rodzaju; lub na odwrót, jak się panom podoba.

Warunki zakładu prędko zostały ułożone.

Z powodu wyjazdu Augusta do Anglii, rozstrzygnięcie miało nastąpić dopiero za sześć miesięcy. Pigrenier zapraszał wszystkich obecnych w epoce wskazanej na wielki obiad, na którym nieznajoma bogini miała czynić honory domu. Biesiadnicy większością głosów, mieli rozstrzygnąć spór pomiędzy dwoma zapaśnikami, przyznając jednemu z nich umówioną nagrodę.

August wedle obyczaju angielskiego, zachowywał jak największą ścisłość we wszelkich sprawach podobnych, tysiąc zatem luidorów złożył na ręce gospodarza domu.

John Waksfeld w słowach przynajmniej chcąc okazać niemniejszą szlachetność rzekł:

— Kilkanaście tysięcy funtów szterlingów złożyłem przed kilkoma miesiącami w kasie pana Karola Pigrenier. Odpowiedzialność zatem moja nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Pigrenier pod wpływem zadziwienia zrobił wielkie oczy na swego przyjaciela, otwierając usta szeroko. Nie śmiał jednak zaprzeczyć słowom przyjaciela, ale przeciwnie trącony w bok ze znaczeniem potwierdził takowe w zupełności.

Wkrótce potem młodzież wracała do domów, przyrzekając gościnnemu gospodarzowi odwiedzać go często, a w każdym razie przybyć z największą ścisłością na dzień umówiony, dla rozstrzygnięcia zakładu. Podochocony Pigrenier z przyjemnością myślał o słodkim wypoczynku po dniu tak pracowicie spędzonym.

Marząc o poduszce nie chciał nawet jechać do E.. dla zobaczenia choć z daleka swej ukochanej, obiecując sobie w dniu następnym wynagrodzić dzisiejsze umartwienie.

Niespodziane jednak przybycie Bussona zniweczyło te piękne zamiary, zniewalając go do działania zuchwalszego niż kiedykolwiek.

Rozdział VII.

Domysły marszałka Chippault dotyczące zamierzonego małżeństwa pomiędzy Józefiną i Góreckim, były jak najzupełniej prawdziwe. Busson zbadawszy dokładnie stan majątku bogatego Polaka i widząc, że takowy sięga znakomitej cyfry kilku milionów, postanowił koniecznie wydać za niego najstarszą swoją córkę; zwłaszcza że Górecki jeszcze przed odziedziczeniem wielkiego spadku, jedynie tylko dla swego nazwiska i odebranego wychowania, przyjmowany był w pierwszorzędnych towarzystwach paryzkich.

Małżeństwo tego znaczenia ukochanej przez niego latorośli, miało być uwieńczeniem całego jego żywota. Zrobiwszy znaczny majątek rozmaitemi zabiegami i wybiegami, chciał wedle o byczaju francuzkiego odpocząć, używając słodkiego bezrobocia. W tym celu posiadany przez siebie Cabinet d'Affaires zamierzył sprzedać, bo od jakiegoś czasu interesa nie szły należycie, zamiast zarobku sprowadzając dotkliwą stratę. Dawniejsze szczęście opuściło Bussona. Niemożna było inaczej wytłomaczyć niepowodzenia bo przechowywał zawsze jednostajną bystrość umysłu i twórczość wielką na polu podstępów.

Chciał więc przy końcu swego zawodu wykonać jakieś arcydzieło, zdolne usprawiedliwić wysokie wyobrażenie jakie miał o sobie samym, zapewniając jednocześnie świetny los córce Józefinie, powołanej wedle wrodzonych darów, do zajmowania przeważnego stanowiska w społeczeństwie. Małżeństwo z Góreckim odpowiadało w zupełności obydwom tym warunkom. W obec jawnej niechęci młodzieńca już nietylko do kobiet, ale do całego rodzaju ludzkiego, było rzeczą niemałą natchnąć go odmiennemi uczuciami i poprowadzić do ołtarza. Wprawdzie główna działalność spadała na Józefinę, przygotowania jednak przedwstępne były niemałej wagi, i wyłącznie tylko od zręczności Bussona zawisło, stawienie dwojga młodych ludzi w tych warunkach, aby wzajemna miłość była nieunikniona.

Dzieło podobne uważał jako godne swego geniuszu, a ponieważ sprawa była niemałej wagi, chciał ją więc przeprowadzić, wedle dawnego obyczaju, z całą przezornością, aby ostateczny wypadek uczynić niewątpliwym.

Wypadało rozpocząć odpowiednie zabiegi, w czasie o ile możności najwłaściwszym. Wybór dnia był rzeczą niemałą, bo należało uchwycić chwilę, w której Górecki znudzony samotnością zapragnie towarzystwa, a tem samem skorzysta chętnie z nastręczonej zręczności. W tym celu Busson nietylko sam przyjeżdżał często z odwiedzinami, ale nadto osadził tam służącego ze swego ramienia, udzielającego mu nadrobniejsze szczegóły dotyczące czynności dobrowolnego samotnika.

Powzięta wiadomość o spotkaniu Góreckiego z Eugenią, początkowo przeraziła nadzwyczajnie Bussona. Drobna na pozór okoliczność była brzemienną w następstwa mogące zniweczyć ułożone zamiary. Wypadało działać pośpiesznie i stanowczo, aby dalszy rozwój wypadków zwrócić na tor należyty. Po namyśle jednak ułożywszy odpowiedni plan postępowania, zapewniający niewątpliwe powodzenie, Busson prawie był zadawolonym z nastąpionego zajścia, bo im większe trudności miał do zwalczenia, tem odniesione korzyści były dla niego milszemi.

Dotychczas nie popełnił najmniejszego błędu, nie czuł więc wewnętrznego upokorzenia. Zostawienie Eugenii w zajmowanem mieszkaniu było raczej zapomnieniem aniżeli pomyłką, a pociągało za sobą korzyść niewątpliwą, nakłaniającą na przyszłość do zachowywania jak największej baczności. Prócz tego Górecki dał ważny rys swego charakteru objawiając nadzwyczajną wrażliwość i dziwną słabość dla pięknej połowy rodu ludzkiego.

Z podobnym człowiekiem wszelka zwłoka była bezpotrzebną, kiedy wśród rozpaczy i nienawiści do kobiet, bez przejścia, przez stan pośredni mógł romawiać z takiem ożywieniem z nieznajomą Eugenią, a później wygrywać na jej cześć serenady. Usposobienie tego rodzaju, było zupełną rękojmią powodzenia: człowiek zdolny do zajęcia się każdą ładną twarzyczką, był łatwą zdobyczą dla powabnej Józefiny, obdarzonej niepospolitym talentem zalotności.

Około godziny 10 rano, Busson wsiadł do karety, dając rozkaz stangretowi zawiezienia go do zamku Verrières.

W drodze przebiegał myślą wszelkie możliwe wypadki przyszłości, aby być gotowym w każdym razie do użycia odpowiednich środków zaradczych.

Pierwsza rozmowa z Góreckim niewątpliwie była najważniejszą; ułożył więc w głowie nietylko cały jej przebieg, ale nadto przy pomocy podróżnego zwierciadła nadawał twarzy odpowiedni wyraz, za pomocą płynu zawartego w maleńkiej flaszeczce, wywołującego bladość oblicza i dziwne jakieś znużenie.

Pod pozorem bólu oczów zakrywał takowe w potrzebie zielonemi okularami, chociaż przezorność ta po większej części była zbyteczną, bo niejeden artysta dramatyczny mógł mu pozazdrościć, umiejętności oddania spojrzeniem wszelkiego rodzaju uczuć.

Przygotowany w ten sposób Busson z całą pewnością moralną wszedł do salonu, chociaż krokiem powolnym, w postawie znękanej, właściwej człowiekowi z sercem po doznanej przykrości.

Nietrzeba było wielkiego daru dostrzegawczego, aby spostrzedz znaczną zmianę w usposobieniu Góreckiego. Twarz jego była ożywioną, spojrzenie pełne swobody i dawno niewidziany uśmiech zadowolenia igrał na ustach. Łatwo można było odgadnąć przyczynę tego stanu: na płótnie rozpiętem na sztalugach, rzucony był ołówkiem pierwszy zarys obrazu, przedstawiającego kobietę grającą na fortepianie.

Widocznie wczorajsze spotkanie uczyniło wielkie wrażenie na umyśle młodzieńca, kiedy chciał przenieść na płótno rysy nieznajomej sobie piękności.

Górecki widząc wchodzącego Bussona, podszedł ku niemu szybko mówiąc:

— Zawsze rad jestem z przybycia pana, a dzisiaj więcej niż kiedykolwiek, zrobiłem bowiem niespodzianą znajomość i prosić będę w tej mierze o bliższe objaśnienia.

Busson chociaż w milczeniu uścisnął podaną sobie dłoń, udał jednak tak znakomicie boleść i głęboki smutek, że zaniepokojony Górecki odłożył na później rozmowę o zajmującym go przedmiocie, zapytując przedewszystkiem o przyczynę większego niż kiedykolwiek zmartwienia.

Busson usiadłszy na krześle z oznakami największego niezadowolenia rzekł:

— Zmartwiony jestem okolicznością obojętną dla mnie na pozór, a mimo tego nadzwyczajnie dotkliwą. Doprawdy dziwne moje usposobienie, sprawy osób trzecich obchodzą mnie więcej, aniżeli moje własne. Rzecz cała dotyczy panny Eugenii Laval.

Busson bystro spojrzał w oczy Góreckiego, chcąc zobaczyć jakie wrażenie uczyniło wymienione nazwisko. Twarz młodzieńca nie uległa najmniejszej zmianie, widocznie nie mówił z nikim o wczorajszem spotkaniu, bo nie wiedział zupełnie nazwiska poznanej osoby. Taki stan rzeczy ułatwiał nadzwyczajnie dalszą rozmowę.

— Cóż to za panna Eugenia Lawal? zapytał ciekawie Górecki.

— Córka jednego z moich przyjaciół, odpowiedział Busson, zmarł on przed kilku laty nie zostawiwszy najmniejszego majątku. Z litości rozciągnąłem opiekę nad biedną sierotą, ale na nieszczęście zawiodła ona najzupełniej moje oczekiwanie. Moralność jej pozostawia bardzo wiele do życzenia. Dawszy jej staranne wychowanie, miałem prawo oczekiwania lepszych owoców, a tymczasem postępowaniem niegodnem rzuciła szpetny cień na poczciwe nazwisko swego ojca. Przekroczenie wszelkich warunków przyzwoitości, zniewoliło mnie do wywiezienia jej z Paryża. Sądziłem, że w małem miasteczku zdala od zepsutego paryzkiego świata, wróci na drogę cnoty. Niestety nadzieje moje były mylne, zawiązała naprędce romans z jednym z bogatych głupców mieszkających w okolicy, i podczas nocy odbywają wspólne przechadzki. Odebrawszy staranne wychowanie jest tem winniejszą, bo mając rozwinięty umysł, grzeszy z całą świadomością rzeczy. Chciałem zapewnić jej przyszłość, początkowo przez założenie pensyi, a później skoro moralność jej doznała szwanku, pomieściłem ją u szwaczki, z zamiarem kupienia zczasem odpowiedniego magazynu. Daremne usiłowania, namiętności w jej sercu górują po nad rozumem. Doprawdy rzecz szczególna, z postawy, sposobu mówienia, a nawet wyrazu twarzy, każdy by ją podał za wzór cnoty, nie przypuszczając, aby pod wszelkiemi objawami zewnętrznemi niewinności, ukrytem było zupełne zepsucie moralne.

Górecki słuchał pilnie opowiadania Bussona, a ostatnie zdanie widocznie wywołało w jego umyśle jakieś przykre wspomnienie, bo rzekł z goryczą:

— Niestety wiem ja bardzo dobrze, jak daleko sięga przebiegłość kobiet na polu zalotności. Umieją one kłamać już nietylko słowem, ale spojrzeniem, uśmiechem, westchnieniem, wyrazem twarzy. Mężczyźni przy otwartem postępowaniu nie przypuszczając obłudy, narażeni są ustawicznie na mnóstwo zawodów bolesnych, wywierających częstokroć wpływ stanowczy na los późniejszy.

— Była jednak chwila, mówił dalej Busson, pra-

wie zupełnej poprawy. Radość moja z tego względu była wielka, kłopoty bowiem, starania i znaczne wydatki nie byłyby zmarnowane na próżno, a co ważniejsza, że córka mego przyjaciela, byłaby uchronioną od ostatecznego upadku. Zmiana była krótkotrwałą, bo wypadkowo powziąłem wiadomość o odnowionych stosunkach miłosnych. Chcę jednak sprawdzić dokładnie otrzymane doniesienie, a jeżeli zrobione zarzuty będą udowodnione, to przerwę stanowczo dalszą nad nią opiekę.

Przybędę wieczorem do zamku, celem zbadania istotnego stanu rzeczy. Tymczasem przygotuję papiery do sprzedaży części lasów przeznaczonych z kolei na wycięcie, bo właśnie w niedzielę przyjadą kupcy z Paryża dla ułożenia ostatecznych warunków sprzedaży.

Górecki patrzył z zadziwieniem na Bussona nie rozumiejąc, jakim sposobem w zamku Verriéres może on sprawdzić postępowanie swej wychowanicy.

— Zapomniałem pana objaśnić jeszcze o jednym szczególe, mówił Busson dostrzegłszy zaciekawienie młodzieńca. Poprzednia właścicielka zamku pani Lagrange, pozwoliła Eugenii wraz z jej kuzynką panią Lucas, zamieszkać w oficynie ogrodowej. Po przyjeździe pana chciałem je usunąć jak najprędzej, ale nastąpiła zwłoka z powodu niemożności wynajęcia odpowiedniego domku zdala od miejscowości więcej zaludnionych, aby uchronić panienkę od niebezpiecznej pokusy. Niewątpliwie zawiniłem, nie uwiadamiając pana wcześniej o obecności dwóch kobiet w terytoryum zamkowem, ale znana mi jego niechęć do całego rodzaju niewieściego nakłoniła mnie do milczenia zwłaszcza mając nadzieję lada chwila przewiezienia ich w inne miejsce.

Objaśnienie dane przez Bussona uczyniło większe wrażenie na umyśle Góreckiego, aniżeli można było przypuszczać. Zdumienie, boleść i jakiś wstyd niewytłomaczony były widocznemi na jego obliczu. Trzymany w ręku ołówek upadł na ziemię i pod wpływem silnego wzruszenia powstał nagle z krzesła mówiąc:

— Niewątpliwie wprowadzono pana w błąd, panie Busson, bo niepodobna przypuścić, aby kobieta z tak wielkim darem muzycznym, z tak głębokiem poczuciem piękna postępowała drogą niemoralną. Gdyby nawet podobne objawy były kłamliwemi, to wedle wzoru Nerona wypadałoby życzyć, aby cały rodzaj niewieści miał tylko jedną głowę, i aby takową można odciąć jednem uderzeniem katowskiego miecza.

— Dziękuję panu serdecznie, rzekł Busson ze wzruszeniem, za kilka słów pociechy. Złudzenie choćby największe daje nam kilka chwil sztucznego szczęścia. Wprawdzie późniejsze rozczarowanie jest tem przykrzejsze, ale cały żywot nasz jest tylko zbiorem zawiedzionych nadziei. Nie wyrzeknę ostatecznego słowa potępienia, aż po dokładnem sprawdzeniu. Skoro jednak doniesienie jest prawdziwe, to będę nieubłaganym, bo ostatecznie mam rodzinę własną i niewolno mi nadwerężać zdrowia przez ustawiczne zmartwienia z powodu osób trzecich, niezostających ze mną w najmniejszem pokrewieństwie.

Górecki szerokiemi krokami chodził po pokoju, zamyślony i smutny. Od czasu do czasu wymawiał urywane wyrazy, będące dowodem roju myśli i uczuć wypełniających jego umysł i serce.

Na jego twarzy wyryte było cierpienie, jakby posłyszana nowina, przykra sama przez się, odnowiła jeszcze dawniejszą boleść, spowodowaną doznanym zawodem w przeszłości.

— Tak panie łaskawy, rzekł nareszcie niespodzianie, stanąwszy przed Busson'em. Trzeba zbadać stan rzeczy dokładnie. W tym celu będę panu towarzyszyć w jego wyprawie wieczornej. Zaszły wypadek obchodzi mnie więcej, aniżeli pan przypuszczasz. Miałem zwodną nadzieję znalezienia chwilowego wypoczynku moralnego, ale niestety wieczna walka i ustawiczne zawody są jedynym udziałem mego żywota.

Młodzieniec z oburzeniem przyskoczywszy do stalug, oderwał zawieszone na nich płótno. Nie chcąc zaś mieć przed oczami żadnego wspomnienia, dotyczącego pięknej i uroczej nieznajomej, zadzwonił, rozkazując wchodzącemu lokajowi wynieść wszystkie przedmioty rysunkowe.

Jad niewiary i zwątpienia, podany zdradziecką ręką Busson'a, chociaż zwolna, ale coraz silniej oddziaływał na uczuciowego młodzieńca, Busson prawie zniewolony był do jego uspokajania.

Chwilowo nawet stawał niby w obronie Eugenii, przypisując główną winę niemoralności młodych paniczów, nieumiejących uszanować pokoju rodzin, ale pod wpływem płochości wprowadzających młode panienki na drogę zepsucia.

Wzburzona wyobraźnia Góreckiego odpychała z odrazą wszelkie okoliczności, zmniejszające winę. W miarę upływu czasu, przekonanie jego o złem prowadzeniu poznanej panienki, nabierało coraz większej pewności. Już nie dla sprawdzenia zrobionych zarzutów, ale dla okazania jej wzgardy chciał iść z Busson'em na wieczorne spotkanie.

Wrażliwa bowiem dusza artysty była nadzwyczajnie zgnębioną tak niespodzianem odkryciem. Niezrównana gra, rzewny głos, boleść i smutek, aż do wyrazu twarzy i niewinnego spojrzenia, były niczem innem, jak tylko udaniem i kłamstwem.

Nagle nowa myśl, odmienna zupełnie, zrodziła się w głowie młodzieńca.

Cierpienie panienki było prawdziwem, mówił sam do siebie, bo inaczej nie znalazłoby tak silnego odbicia w wykonanym przez nią utworze muzycznym. Przyczyna zmartwienia była spowodowaną chwilowem nieporozumieniem albo tęsknotą za kochankiem, z nadanem mianem bogatego głupca.

Powyższe przypuszczenie, zamiast usprawiedliwić biedną Eugenię, wywołało większy niż poprzednio gniew Góreckiego. Zachwycony pięknością, rozmową i grą panienki, myślał z zazdrością o szczęśliwym współzalotniku, umiejącym zjednać jej wzajemność. Czuł prawdziwą obrazę z tego względu, jakby jego znajomość sięgała dawnych czasów, i jakby miał jakiekolwiek prawo oskarżania jej za doznany zawód. Każde upokorzenie jest nadzwyczajnie dotkliwe dla człowieka, to też Górecki przebiegał pokój coraz szybciej, aż nareszcie znużony, upadł na stojącą obok kanapę. Zrobiona wzmianka przez Busson'a o niemoralnem postępowaniu Eugenii jeszcze w Paryżu, była dla niego pewną ulgą, wywołując śmiech szyderczy, będący niezręczną pokrywką doznanego udręczenia.

Wśród tych różnorodnych objawów gniewu i smutku młodzieńca, Busson, zajęty niby porządkowaniem papierów, dotyczących zamierzonej sprzedaży lasu zwracał uwagę na wszystko, wyprowadzając odpowiednie wnioski. O powodzeniu swoich zamiarów nie miał już żadnej wątpliwości: ucieszony nadzwyczajnie z pomyślnego obrotu rzeczy patrzył z pewną pogardą na człowieka, tak łatwo ulegającego najdrobniejszym wpływom zewnętrznym.

Nad wieczorem Górecki, pod pozorem znużenia poszedł do swej sypialni, wracając niejako do pierwotnego swego usposobienia po przyjeździe do zamku Verriéres.

Stronił ówczcześnie od wszystkich ludzi bez wyjątku, i jedynie tylko Busson miał nadany przywilej wolnego wstępu. Myśl jednak jego krążyła zawsze około jednego przedmiotu, i przed odejściem oświadczył gotowość do odbycia w czasie właściwym zapowiedzianej przechadzki.

Busson, zabezpieczony z jednej strony, po wydaniu odpowiednich zleceń swojemu zausznikowi, pojechał spiesznie z odwiedzinami do Karola Pigrenier, aby mu wytknąć należytą drogę postępowania, odpowiednią do poczynionych przygotowań.

(d. c. n.)

ISKRA.

Komedya w jednym Akcie

PRZEZ

Edwarda Pailleron.

Przedstawiona na benefisie p. Modrzejewskiej dnia 15 Lutego 1880 r.

przekład J. B.

(Dalszy ciąg).

Scena piąta.

Raul, Antosią gryzie orzechy.

Raul (do siebie gestykulując). Doprawdy, zakrawam na głupca.

Antosia (patrząc na niego, na stronie). Co się stało panu Raulowi?

Raul. Ale to co się zowie na głupca.

Antosia (głośno). Ha! ha! wyglądasz pan jakbyś grał komedyą!

Raul (na str.). Ani jej w głowie nie postało że...

Antosia. A jakbym to ja chciała grać komedyą... Może chcesz pan orzechów?

Raul. Szkoda ząbków, panno Antonino.

Antosia. A toż co! i pan nie nazywasz mnie już Antosią?

Raul. Ponieważ nie jesteś już...

Antosia. Jak pan myślisz, po co proboszcz przyszedł do mojej opiekunki?

Raul. Albożja wiem?... Ponieważ nie jesteś już...

Antosia. Miał taką jakąś niezwykłą minę... Wszystko mi się zdaje że to pan Cravate go przysyła... O! tak, bardzo, bardzobym to lubiła! Moja opiekunka zaprowadziła mnie raz w lecie..

Raul. Gdzie?

Antosia. Na komedyą... Czy stanowczo nie chcesz pan?

Raul. Czego?

Antosia. Orzechów... A pan czy lubiłbyś to?

Raul. Ależ co?

Antosia. Grać komedyą... ha! ha! ha! ha! to prawda że zawsze mam zwyczaj mówić naraz o trzydziestu sześciu rzeczach, i nieraz takiej narobię mieszaniny, że sama nie mogę trafić do ładu... ha! ha!.. No, o czemże to ja mówiłam? ha! ha! to doskonale... sam pan widzisz, nic już nie wiem!... Aa! przypominam sobie .. o komedyi!... było to w Tours, trzeba panu wiedzieć... a grali aktorowie z Paryża. Może to i nie była komedya, tylko wiersze. O! ja bardzo lubię wiersze!... było to tak .. no! dość że była tam biało ubrana kobieta, z długim, strasznie długim trenem... a! ślicznie to wyglądało... Był także i jakiś młody pan, i mówili sobie wiersze... Powiadam panu że było to zupełnie jakby muzyka, ta, ta, ta, ta, „O! ty nie wiesz jak ja cierpię!.. ta, ta... nie pamiętam jak dalej.

Raul. Grano zapewnie „*Noc październikową*“?

Antosia. Tak, tak, *Noc październikową.*

Raul. Skoro lubisz wiersze, panno Antonino, więc jeźli chcesz posłuchać to ci powiem.

Antosia Wiersze?... a czyje?... czy może pana układu?

Raul. Tak...

Antosia. A to ślicznie!... proszę deklamuj pan.

Raul. Więc słuchaj! Tytuł „Chodź do mnie! No, ale jeźli ciągle będziesz chrupać orzechy...

Antosia. Nie, nie, to już ostatni... słucham pana.

Raul (czyta). Chodź do mnie, luba dziewczyno,
Niech cię do serca przytulę;
Samotne godziny płyną
A ja cię kocham tak czule,
Tęskno mi smutno bez ciebie,
Zlituj się, na chwilkę do mnie,
Choć chwilkę przepędzim w niebie,
Dziewczyno moja chodź do mnie!

Pień smutny w korze usycha,
Powój się czołga śród boru,
Pień dawno do kwiatka wzdycha,
A kwiatek słaby bez wsporu.
Od wichrów zadrżały bory,
Pień silny stoi niezłomnie,
Powój się trzyma podpory,
Dziewczyno moja chodź do mnie.

Będziem się wspierać wzajemnie
W każdej złączeni potrzebie,
Ty będziesz silną przeze mnie,
A ja szczczęśliwy przez ciebie.
A gdy Bóg śmierci anioła,
W chwili zgonu ześle po mnie,
I wtenczas dusza zawoła;
Dziewczyno moja chodź do mnie.

Antosia. A co też pan wygadujesz! gdzież znów dusza w chwili zgonu ma wołać dziewczyny. W żadnym katechizmie nie ma o tem...

Raul. Ach! szydzisz ze mnie, a ja te wiersze zrobiłem dla ciebie.

Antosia. A! jak możesz pan tak nieprawdę mówić.

Raul. Jakto?

Antosia. Jestem roztrzepana, szalona, ale nie ograniczona, jakże pan chcesz żebym uwierzyła, że te wiersze napisałeś dla mnie... ja ich nic a nic nie rozumiem... Dziewczyno, Alino, przemieniłeś pan te słowa... Tylko do mojej opiekunki możnaby tak przemawiać... Ona zrozumiałaby taką jakąś miłość... ona umiałaby tak kochać...

Raul. O! tak! (słodko) A jakżebyś ty kochała, Antosiu?

Antosia. Ha! ha! ha! Wypowiedziałeś pan to takim samym głosem, jak rano mówił do mnie pan Cravate.

Raul (na str.). Hum! jak Cravate! ciężki orzech do zgryzienia!... (głośno) Nie odpowiedziałaś na moje pytanie?

Antosia. Alboż ja sama wiem?... A najpierw cóż to właściwie jest kochanie?

Raul (do siebie). A to dopiero naiwność!... (do Antosi) Czyż podobna abyś nie domyślała się nawet?...

Antosia. I owszem... przecież nie jestem dzieckiem... chciałabym tylko dowiedzieć się... po czem mianowicie można poznać, czy kto kocha czy nie kocha.

Raul (na str.). Czy nie kocha! wyborna sobie! (głośno) No, tak... przypuśćmy naprzykład że proszę abyś mi pozwoliła pocałować się... mówię przypuśćmy... cóżbyś powiedziała na to?

Antosia (z prostotą). Powiedziałabym pocałuj pan.

Raul (z dekoncertowany). Otóż widzisz, dowodzi to że się nie kocha.

Antosia. A cóż to może mieć za związek?...

Raul. Wielki... Gdy się nie kocha, wtedy dzień dobry czy pocałunek, od tego czy owego, wszystko to jedno, nic i nikt pod tym względem nie obchodzi bo nikt nie jest *nim*, jest się więc swobodną, śmieje zawsze i ze wszystkiego, jak ty, Antosiu.

Antosia. Jak ja... A jeźli ktoś kocha?

Raul. O! kto kocha nie śmieje się, płacze raczej i sam się dziwi że łzy te rozkosz mu sprawiają. Ogarnia nas nieustannie jakaś obawa, niepokój, trwoga, ale jednocześnie każda najdrobniejsza arterya drga w nas rozkoszą życia. Jest ktoś kogo zarazem unikamy i gonimy, przyzywamy i obawiamy się, czaruje nas i zachwyca, panuje w naszem sercu, ogarnia myśli, staje się jedynym przedmiotem naszych snów i marzeń... i ktoś ten stał się wszechwładnym panem całej naszej istoty... to *on*!

Antosia (siadając na ławce). No, proszę!...

Raul (idzie za nią i staje za ławką). I nigdy nie jest tak blizko nas, jak gdy jest nieobecny... Chcielibyśmy zawsze mówić o nim, i tylko o nim, a nie śmiemy... choćby ktoś największe jego wygłaszał pochwały, zdaje się nam że zamało powiedział... a sami nieraz odzywamy się z jakąś naganą, może dlatego żeby inni nie odgadli naszej miłości, lub nawet aby ukryć ją przed samym sobą.

Antosia (zamyślona). I co jeszcze?

Raul (siadając obok niej). Jeźli jest gdzieś tam gdzie i my jesteśmy, nie patrzymy na niego a jednak go widzimy, nie słyszymy a jednak odgadujemy co mówi... Jeźli się zbliży do ciebie, czoło twoje pokryje się rumieńcem; gdy przemówi serce bić przestaje... gdy ujmie dłoń twoją, cała istota twoja wyrywa się ku niemu... a gdyby błagał o pocałunek, to musi go porwać, gdyż sama nigdy nie zezwoliłabyś na niego ani nie oddała, z obawy aby nie umrzeć z tej rozkoszy... A teraz zasłużyłem na pocałunek i domagam się o tę nagrodę. (zbliża się do niej).

Antosia (wstając). O! nie!

Raul (na stronie). Iskra!

Antosia (wybuchając śmiechem). Ha! ha! ha! ha!

Raul (wstając). Antosiu!

Antosia. Kiedy tak, to ja kochałam!.. ja kochałam! ha! ha! ha!...

Raul. Kochałaś?

Antosia. Tak, ja!... W klasztorze na pensyi, my wszystkie w ostatniej klasie, kochałyśmy się w naszym nauczycielu religii i zarazem spowiedniku, w księdzu gwardyanie... Gdy do nas przemawiał rumieniłyśmy się lub bladły.. A brzydki też był starowina!... i ani się domyślał biedak naszej miłości...

Raul (przybliżając się do niej). Ależ to nie była...

Antosia (odsuwając się). Ale owszem... owszem, była to miłość... tak, miłość, teraz doskonale przypominam sobie... ha! ha!... Wystaw sobie pan, ponieważ był prawie zupełnie łysy, więc... ha! ha! ha! więc wyobraź pan sobie, wycinałyśmy kawałki z materyi jaką kapelusz jego był podszyty, i nosiłyśmy te rzęchy w naszych medalionach... ha! ha! ha!...

Raul. Posłuchaj mnie, Antosiu.

Antosia. Otóż moja opiekunka.

Raul (na str.). Za nadto się śmieje.

Antosia (na str. zarazem z zadziwieniem i radością). On mnie kocha!...

Scena szósta.

Raul, Antosia, Pani de Rénat.

P. de Rénat. Czy jeszcze ciekawa jesteś dowiedzieć się po co przyszedł ksiądz proboszcz?

Antosia. Zdaje mi się że zgaduję...

P. de Rénat. Chce mówić z tobą.

Antosia. Założę się że to pan Cravate go przysyła.

P. de Rénat. Idź, to się dowiesz.

Antosia. Dobrze... idę... idę... (na str. zamyślona). On mnie kocha... Tak, a moja opiekunka?... (wychodzi).

Scena siódma.

P. de Rénat (siadając). I cóż?

Raul (na ławeczce). Miałaś słuszność, za nadto się śmieje.

P. de Rénat. Zatem ani poezya, ani natura..

Raul. Wszystko napróżno, nie ma się co łudzić.

P. de Rénat. Więc zrzekasz się zamiaru...

Raul. Nigdy! przenigdy!... Musi mnie pokochać! czy słyszysz, wujenko, musi!... sama miłość własna nie dozwala mi...

P. de Rénat. Więc koniecznie chcesz się z nią żenić?

Raul. Jak najkonieczniej!... Wszystko zasadza się na tem aby wydobyć iskrę, wszak pojmujesz?... To już moja rzecz... bądź pewna że wynajdę środek psychologiczny... cóż, u licha! żebyśmy działając wspólnie... (zatrzymuje się i uderza w czoło) Ach! mam już, mam, sposób doskonały!...

P. de Rénat. Znów nowy?

Raul. Ach! wujenko, proszę cię na wszystko, chciejże raz już uważać mnie za myślącego i poważnego człowieka! Powiadam ci że mam niezawodny sposób na to, aby to dziewczę mnie pokochało. Jest to środek naiwny, stary, więcej jak stary, odwieczny... Ale wszystko tu zależéć będzie od ciebie.

P. de Rénat. Tak?... więc to już postanowienie niezłomne... chcesz się żenić, no, tak czy nie?

Raul. Ależ tak, tysiąc razy tak! I nie tylko chcę ją poślubić, ale nawet jestem tego pewny..! Przedstawię wujence mój środek.

P. de Rénat. Czy uważałeś że dziś już jest za nadto pełna, a przy jej skłonności do tycia, może nabrać kolosalnej tuszy, co przy tak nizkim wzroście...

Raul. Eh! wujenko, pełność kształtów nie zraża mnie bynajmniej.

P. de Rénat. Więc dobrze, pomówię z nią.

Raul. Ale niechże ci powiem jaki mam sposób.

P. de Rénat. Nie ma potrzeby. Ty się chcesz z nią żenić, ja cię jej oświadczę i koniec... Rzecz bardzo łatwa.

Raul. Gdzież tam, odmówi.

P. de Rénat. Cóż znowu!

Raul. No, jeźli chcesz, wujeneczko, sprobój, ale pewny jestem że odmówi... nie ma iskry! Z czegoż się śmiejesz, wujenko? Czy to co tak bardzo śmiesznego być zakochanym?... widać że ja wydaję ci się w tej roli bardzo pociesznym.

P. de Rénat. Czy widziałeś kiedy tańczących nie słysząc zarazem muzyki?

Raul. Jakto?

P. de Rénat. No, bo takie na mnie robisz wrażenie... Ale idź już sobie, Antosia nadchodzi.

Raul. Ach! wujenko, jeźli kim miota namiętność...

P. de Rénat (popychając go lekko ku drzwiom w głębi). Wiem, wiem, ale jeźli ktoś nie słyszy muzyki. No odejdź już, odejdź!

Raul. Odejdź! odejdź! a! uosobiony rozsądek!... Ach! ty, wujenko wcale nie masz iskry, a szkoda, wielka szkoda.

P. de Rénat. Ale idźże już sobie!

Raul. Pamietaj, wujenko, iż jeźli twój środek się nie uda, udamy się do niego.

P. de Rénat. Dobrze, wróć za dziesięć minut.

Raul. Idę, ale mi żal. (wychodzi).

P. de Rénat. A! cóż to za szaleniec!... Ale mniejsza o to!... Tolko!... A! tego już nadto!... Stało się!

Scena ósma.

Pani de Renat, Antosia.

Antosia. A co! nie mówiłam... Nie ma pana Raula?... Widzisz, droga opiekunko, że dobrze wiedziałam iż ksiądz proboszcz przysłany został przez pana notaryusza.

P. de Rénat. I cóż ci powiedział?

Antosia. Zapewniał że może przedstawić najlepsze gwarancye.

P. de Rénat. Cóżeś odpowiedziała?

Antosia! Pomimo najlepszej gwarancyi, nie obwarowałam nadziei pana Cravate, i ksiądz proboszcz zostawił mi do jutra czas do namysłu.

P. de Rénat. Więc odmawiasz?

Antosia. Skoro mam czas do wieczora...

P. de Rénat. Ale odmawiasz?

Antosia. A jaka ta moja mateczka dziś niecierpliwa!

P. de Rénat. A to istna wiejska dziewucha! ani się z nią dogadać... No, powiedzże, czyś odmówiła: tak czy nie?

Antosia (z chłopska). A możeć i tak...

P. de Rénat. Chodź tu do mnie i patrz mi w oczy, w same oczy.

Antosia (śmiejąc się). Czy tak, mój jenerale? ha! ha! ha!

P. de Rénat. Pan de Géran oświadczył się o ciebie.

Antosia. On!...

P. de Rénat. A! nie śmiejesz się już?

Antosia (drżąca). To ty, mateczko... śmiejesz się, żartujesz ze mnie... to niepodobna ..

P. de Rénat. Niepodobna... ale tak jest. Pan Raul chce się z tobą żenić, jest to najprawdziwsza prawda. Prosił mnie abym ci oznajmiła jego oświadczenie, obiecałam, i jak widzisz, dotrzymuję obietnicy. Jeźli chcesz możesz zostać jego żoną. Wypowiedziałam co żądał, a teraz umywam od tego ręce. I cóż nic nie odpowiadasz?..

Antosia (na stronie). Jego żoną!

P. de Rénat. Tak, tak, nie odpowiadasz, ale drżysz jak listek... Byłam pewna że nie będzie trzeba namawiać cię i przekonywać... Może niekoniecznie będzie on takim mężem jakiego życzyłabym tobie, no, i tobie i innym... według mnie, nie jest to człowiek dość poważny aby umiał kochać... tak mi się zdaje... Ale zawsze dobry chłopiec... ma swoje przymioty, dostał order... Już to niemożna powiedzieć żeby był piękny, jest sobie dość pospolity... tak w ruchach jak w obejściu... szczególniej gust ma zakazany, o dziwnie niedobry... No! więc tedy zostaniesz baronową de Géran... I czemuż tak się we mnie wpatrujesz?...

Antosia (czule). Droga moja opiekunko!

P. de Rénat. Nie potrzebuję pytać czy przyjmujesz?

Antosia. Ach! ty nie wiesz jak twoja Tolka cię kocha!

P. de Rénat. Więc przyjmujesz?

Antosia. Puść no mnie do mego ulubionego kącika, wiesz, tam!

P. de Rénat. No, to dopiero, jak dla tamtego tak i dla tego nie mówi ani tak ani nie.

Antosia. Chcę mego kącika.

P. de Renat. Przyjmujesz?

Antosia (popatrzywszy na nią). Nie.

P. de Rénat. Co! odmawiasz?.. dla czego?

Antosia. Bo... bo... bo go nie kocham.

P. de Rénat. Nie!.. Spojrz mi w oczy.

Antosia (patrząc na nią). Nie kocham.

P. de Rénat. Dlaczegóż go nie kochasz?

Antosia. No... bo... bo...

P. de Rénat. Bo... bo... Tylko mężczyzn można tak byle czem zbywać.. No, powiedzżecze mu go nie kochasz?

Antosia. Ależ, droga opiekunko... może dlatego.. dlatego że nie jest poważny, tak mi powiedziałaś...

P. de Rénat. Powiedziałam...

Antosia. I że nie jest piękny.

P. de Rénat. Niepiękny! niepiękny!... przecież nie powiedziałam że brzydki... mówiłam tylko pospolity... Niepiękny!... strasznie jesteś wybredna, panno Antonino!

Antosia. Droga opiekunko!

P. de Rénat. Nie, doprawdy, to rzecz niepojęta... No! mniejsza już że odmawiasz panu Cravate, chociaż.. Ale odmawiać jemu!... Raulowi! to wszelkie pojęcie przechodzi.

Antosia. Tak samo jemu jak każdemu innemu... Nie kocham nikogo... a potem pomyśl tylko, droga opiekunko, ja baronową!... ja z moim niekształtnym nosem i takiemi silnemi rumieńcami.. Baronowa Tolka!... do czego by to było podobne?... (patrząc na nią mówi łagodnie) Ty, mateczko, to co innego!

P. de Renat (drgnęła mocno). Ja!... dla czegóż ja? skądże ci to przyszło?

Antosia (nie odpowiadając). Zresztą, ja go nie kocham! tak, nie kocham.

P. de Rénat. Ale dlaczego? dlaczego?... O! nie wywiniesz mi się!... ze wszystkiego co mówisz można się czegoś domyślać...

Antosia. No, przyznaj sama, mateczko, ale tak szczerze... wszak przed chwilą sama odradzałaś mi trochę ten związek... tak trochę, troszeczkę!...

P. de Rénat (bardzo żywo). Ja! ja ci odradzałam!

Antosia. No to nie! Ale nie zaprzeczysz że w gruncie małżeństwo to nie zrobiłoby ci przyjemności?

P. de Rénat (unosząc się). I dlaczegóż to wasz związek miałby mi być niemiłym... dlaczego? dlaczego?... Nie zastanawiasz się nad tem co mówisz, panno Antonino!... Co ci znów do głowy przychodzi?...

Antosia. Uspokój się droga opiekunko.

P. de Rénat. Ja mam się usp... (do siebie) Mówi mi to samo co on przed chwilą!... zmówili się wyraźnie... (głośno) Ja się mam uspokoić!... A! kiedy tak więc musicie się pobrać... Czy słyszysz! pójdziesz za niego!

Antosia. Ale nie chciałabym...

P. de Rénat. Ale ja chcę!

Antosia. Zaczekajże przynajmniej, kochana opiekunko, żebym odmówiła tamtemu, potem zobaczymy.

P. de Rénat. Mówię ci że pójdziesz za pana barona de Géran.

Antosia. Ach! otóż on!... uciekam!

P. de Rénat. Pójdziesz za niego!

Antosia (ucieka posełając jej od ust pocałunki). Ach nie wiesz, droga opiekunko, jak twoja Tolka cię kocha!

(d. n.)

WYSTAWA OBRAZÓW

w salonie sztuk pięknych Józefa Ungra.

Warszawa ujrzała się naraz posiadaczką aż trzech jednocześnie Wystaw sztuki malarskiej. Czy to nie za wiele? Wprawdzie wystawa w pałacu Brühlowskim, na rzecz ochronki przy ulicy Wilczej, jest tylko czasową. Pomimo tego, słyszeliśmy głosy artystów pędzla, którzy, na tem rozdzielaniu płodów swojej muzy aż na dwa miejsca, nie korzyść dla siebie, a stratę pewną upatrują.

Może to i słuszne zdanie — nie naszą jednak rzeczą jest oceniać ich wartości. Zabieramy się więc wprost do przedstawienia wrażeń, któreśmy odebrali z przejrzenia jednej z tych Wystaw, mianowicie Wystawy w salonie p. Ungra na Niecałej.

Otóż, dość jest spojrzeć na sam spis obrazów tej Wystawy, aby poznać odrazu, że królem jej ilościowym, czyli, jakby rzec jeszcze można *liczbowym* jest—Maurycy Gottlieb, że prawie jest to Wystawa dzieł tego artysty. Ajdukiewicz, idzie zaraz po nim; po Ajdukiewiczu—Matejko. Czytelniczki przeczytawszy to ostatnie nazwisko, spodziewają się z pewnością, że o ile Gottlieb przoduje Wystawie, o której mowa, przez ilość przesłanych na nią utworów,—o tyle Mistrz nasz przodować jej musi, wartością tychże. Niestety! co do tego, spieszymy je odrazu uprzedzić, że tak nie jest. Tym razem, jakoś p. Unger, zdołał zgromadzić w salonie swoim, słabsze tylko i mniejsze prace Matejki.

Oprócz szkicu z *Wita Stwosza*, którego już dobrze znamy, i studyum z natury pani *Fiszerowej*, matki monachijskiego malarza,—to, i *spalenie Marcherowej na rynku w Krakowie* i *pan Łabus mieszczanin krakowski* (studyum z natury), nic takiego nie przedstawiają, coby wskazało, że je twórca *Kazania Skargi* i *Bitwy pod Grunwaldem* malował.

Załatwiwszy tym sposobem z głównym szkopułem, spieszymy teraz podać proste i nieskrępowane żadnemi względami, wrażenia, jakie odebraliśmy z przeglądu obrazów innych twórców pędzla, konkurujących na tejże Wystawie.

Ajdukiewicz T. *Portret Heleny Modrzejewskiej.* Przyznajemy, żeśmy, po nadzwyczajnie pochlebnych i krzycząco nawet pochlebnych krytykach tego obrazu, podanych przez niektóre pisma peryodyczne spodziewali się znaleźć znacznie rzecz wyższą i piękniejszą, niż znaleźliśmy w rzeczywistości. Naszem bo zdaniem przy malowaniu portretów osób, zajmujących jakieś wybitne stanowisko w świecie czy to sztuki czy w innym, artysta dwie rzeczy powinien mieć na celu — *wierność plastyczną* czyli podobieństwo: i 2-do *wierność duchową*, to jest: aby pędzlem starał się nadać twarzy i postawie osoby portretowanej, wyraz tej duchowej atmosfery, która wewnątrz i na zewnątrz jej, wnikając w nią i otaczając czynnikami, które też atmosferę stanowią, musiała ją koniecznie, do oddawania pewnych stałych za pomocą ciała wrażeń, czyli przybierania za wolą duszy, pewnych, właściwych ruchów—usposobić.

Ani jednego, ani drugiego z tych warunków, nie znajdujemy w portrecie pani Modrzejewskiej. Za młodą jest na wiek swój, za drobną na postawę. Co zaś do *wierności duchowej*, to któż tam w tym portrecie dopatrzéć się zdoła choćby jednego jakiego rysu, który osobie niewiedzącej, że p. Modrzejewska jest artystką dramatyczną i jeszcze takiego pokroju, da poznać to zajmowanie się jej rzeczami sceny, tem bardziej, to królowanie jej na scenie? Książka stara w arystokratycznej ciężkiej oprawie w ręku!?... pies, przy nogach!?... Czemuż już nie lepiej, w temże ręku jakiś kajet lub arkusz rozwinięty, z których to arkuszy, jak wiadomo, artyści sceny uczą się zwykle ról swoich, czemuż już nie to prędzej? Zamiast psa, który nie wiadomo skąd wziął się tutaj, w chwili, gdy artystka opuściła rękę z książką... (czy myśli nad tem, co przeczytała, czy pozuje do jakiejś sceny?..) czemuż nie c

innego, u nóg jej, na posadzce salonu? Gobeliny też owe wszystkie i liście wszystkie i suknia białoatłasowa blamowana złotem,—to wszystko bardzo ładne są akcessorya, ale gdzie w nich Modrzejewska pytamy ciągle, i co one mają do Modrzejewskiej?

Otóż, to są wady naszem zdaniem, utworu, który tyle krzyku narobił w ostatnich czasach, w prasie. Mówimy: „w prasie“ bo malarze nie zachwycają nim się tak wcale. Jeźli teraz, po za wadami temi idzie o zalety... o! te są także ogromne!

Widzimy przed sobą śliczną panienkę jakąś, żywo zdjętą z arystokratycznego salonu, arystokratycznej czystej krwi i pochodzenia: łagodną, milutką, przyjemną... panienkę, co się sentymentalnie, ot tak, z nudy sobie, bawi w przeglądanie jakiejś książki z illustracyami (zapewne!) i, dla większego jeszcze rozerwania nudy, żartami z psem swoim faworytem, zabawia. Obraz duży!... salon bogaty!... gobeliny!... kwiaty!...

Otóż i obraz pana Ajdukiewicza.

Portret Heleny Marcello artyst. dramat. Drugi ten utwór Ajdukiewicza, jest już pracą zupełnie w innym rodzaju. I rozmiarem swoim i pretensyą, należy do tych skromnych prac artystycznych, dla których sami ich twórcy domagają się reklamy, w obawie, aby ich nie posądzono o... niemożność przedstawienia szerszych produkcyi.

Nie znamy osobiście p. Marcello, aby osądzić, czy portret jest jej wierną podobizną. Że z portretu też nie moglibyśmy wcale się domyśléć, że p. Marcello jest artystką dramatyczną—za to ręczymy.

Mały ten jednak obrazek zasługuje na uwagę i wielką nawet—z jednego względu. Oto jest w nim jakaś bardzo przyjemna nie dająca się nawet określić, na czem polega oryginalność traktowania.

Takie grube, bez zachodu, narzucenie na płótno farb kilku, z których prędkiego rozcieniowania wychodzi potem bardzo wdzięczny i miły obrazek—znajdujemy dotąd tylko u Matejki głównie i Chełmońskiego (z malarzy naszych). Ajdukiewicz dobrze tu popróbował tego rodzaju twórczości. Czy tylko usta portretu nie są za grubo malowane. Bo wyglądają jakby je artystka posmarowała t. z. *pomadką.*

Wycieczka w Tatry. Batdzo rzecz ładna i wdzięczna, ale czy groźna również?... jak tego mamy prawo oczekiwać od obrazu z powyższym tytułem. Nie chcemy przez to powiedziéć, że *wycieczki* bywają zwykle groźne, ale... góry, owe! góry! Tatry nasze! te już chyba mają pretensyą do nazwy groźnych i do tego, aby je takiemi malowano! Alpy przecie Szwajcarskie są sadem zielonym w stosunku do nich! Pustkowia Tatrów naszych słynne są w Europie! Te skały dzikie, wyrosłe w niebo wolą jakiegoś podziemnego boga! te jaskinie w ich wnętrzach, urwiska po nad płaszczyznami! nory! zawały i wyskoki!... to wszystko rzuca się przedewszystkiem każdemu w myśl i w wyobraźnię, kto poznał Tatry i kto po nich chodził. Obowiązkiem też p. Ajdukiewicza było dać nam w tym obrazie coś z tego wszystkiego. A tymczasem tej fizjognomii Tatr głównej, właśnie tu nie ma.

Wdzięcznym jednakże—powtarzamy—jest pomimo tego ten utwór!

. . . .

Z tego, jednem słowem. co p. Ajdukiewicz zaprodukował nam obecnie na wystawie p. Ungra, możemy sobie wyprowadzić wniosek ogólny, że artysta ten ma przed sobą szerokie jeszcze bardzo pole, do ostatecznego wyprobowania rodzaju swego talentu. Czy ma być przeważnie portrecistą, czy malarzem pejzażów, czy twórcą innych rzeczy? sam to, z dotychczasowego popisu swojego, ocenić dobrze i rozważyćby powinien. Wybór pod tym względem, stanowi nieraz o całej karyerze artysty.

Można być bardzo dobrym lirykiem, a pisać bardzo liche dramaty!

Tymczasem pozwolimy sobie wydać zdanie że p. Ajdukiewicz, o ile doskonałym jest technikiem, o tyle zdaje mi się, że ubogim jest w pomyśle, mało głębokim tu i mało twórczym.

B. A.

Przegląd literacki.

(Dalszy ciąg).

Błędnego i powszechnego wyrażenia: „mieszkam *na ulicy* N.“ broni również autor, niefortunnie i z dziwną zaprawdę logiką. Według zdrowej bowiem logiki i ducha języka polskiego, *na ulicy* stoi wóz, dorożka, *na ulicy* dużo kurzu, błota, bruk dobry lub zły, ale *domy* stoją *przy* ulicy, a zatem, mieszkając w domu, mieszkam *przy* tej lub owej ulicy. Różnica ta aż nadto widoczna w takim razie, gdy wyrzucą moje rzeczy *na ulicę*, bo przecie muszę mieć lokal i mieszkać *w domu*, nie zaś *na ulicy*. Według pana A. A. K, zaś wszyscy mieszkamy *na ulicy*! Śmieszny jest argument że tylko lokatorowie frontowi mieszkają *przy ulicy*, a zajmujący lokale tylne mieszkają *na ulicy*. Prędzej przeciwnie, bo wszak lokal frontowy bliższy jest ulicy, a tylne dalsze, nie występują *na ulicę* dalej od frontowego.

Wszelako tak lub owak; mieszkam *w domu*, a dom stoi *przy ulicy*. Nadto pan A. A. K. przepowiada, że niebawem i ten spór ustanie i za *dobrym przykładem* zachodu po prostu mówić będziemy, jak to i dziś się mówi: Gdzie mieszkasz? Chmielna 15. *Im krócej tem lepiej* mówi obrońca zepsucia języka i porównywa niedorzeczne adresa listów: W-ny N. N. przyznając, że jest *to nielogiczne*, ale dodaje, *krócej a równie dobrze* (sierp. str. 369). Z podziwieniem zaprawdę przeczytaliśmy te osobliwości. Wymyślona przez pana A. A. K. zasada *im krócej tem lepiej*, nie istnieje ani w polskim, ani w żadnym innym języku, gdyż niekażde zdanie może być skróconem bez uszczerbku sensu. Dziwniejszem jest jeszcze, że pan A. A. K. przystaje nawet na wyrażenia *nielogiczne*, byle tylko krótkie. Gdybyśmy chcieli hołdować tej śmiesznej zasadzie, w pogoni za krótkością opuszczając najistotniejsze części zdania, najlepszy i najzwięźlejszy, podług pana A. A.K. styl byłby zbiorem zagadek. Obowiązkiem byłoby w takim razie starać się prześcignąć greckiego Tucydydesa i łacińskiego Tacyta, którzy istotnie po części hołdowali zasadzie: „im krócej tem lepiej.“

Skoro pan A. A. K. pozwala nawet na wyrażenia *nielogiczne*, byle krótkie. to zapewne np. zamiast „Jagiełło zwyciężył krzyżaków pod Grunwaldem“ można powiedzieć *krócej* choć *nielogicznie*, ale *równie dobrze* tak: „Jagiełło krzyżaków Grunwald.“ Jeżeli zaś *za dobrym przykładem* języków zachodnich mamy tworzyć wyrażenia krótsze. to zapewne pan A. A. K. pochwaliłby i takie wytwory jak *drzewo-tablica* (Holztafel), *tnij-głowa* (coupe tête) i t.d.

Na str. 370 pan A. A. K. zaleca wyrażenie *profesor ordynaryjny*, które nie jest polskie, gdyż po polsku mówi się *profesor zwyczajny*. To już wyraźniej pan A. A. K. występuje, jako apostoł skażenia języka.

Dalej (str. 371) pan A. A. K. nie wierzy, żeb y *ręku* mogło być 2 przypadkiem liczby podwójnej i żeby można było mówić: w moich ręku, z własnych ręku i t. d. To już gruba nieświadomość, bo gdyby pan A. A. K. znał np. pisarzy zygmuntowskich, znalazłby u nich powyższe wyrażenia i mnóstwo innych; gdyby znał zaś gramatykę — nie mówię już porównawczą albo dawnej polszczyzny, ale choćby gramatykę większą Małeckiego, nie wątpiłby że *ręku* niezawodnie jest 2 przyp. liczby podw. podobnie jak *oczu* i *uszu*.

Rzecz dziwna że gdy lingwista Ateneum grzeszy przeciwko elementarnym wiadomościom gramatycznym, redakcya nie potrafiła go poprawić, choćby w tym punkcie.

Gatunek wrzekomej głębokości poglądów pana A. A. K. i jego ducha analizy, wybornie charakteryzuje ustęp na str. 372, gdzie mowa o mniemanej różnicy pomiędzy wyrażeniami ro*bić* znajomości, za*bie*rać znajomości, *zawie*rać znajomości. My to żadnej różnicy nie widzimy i uwalniając czytelników od rozbioru scholastyki pana A. A. K. możemy tylko wyrazić żal, że los nie dozwolił mu żyć w wieku XII lub XIII, kiedy ludzie poważnie i głęboko rozprawiali o *niczem*. Niemniej dziwaczną jest obrona wyrażenia „*robić* sprawunki.“ Autor nie może żadną miarą wpaść na lepsze wyrażenie, zapytuje „jakże to inaczej, a równie krótko i trafnie powiedzieć i dodaje na pozór głęboką, a w gruncie niedorzeczną uwagę: „gdybyśmy się całkiem po francuzku nie uczyli, tobyśmy na jakiś odpowiedni termin swojski wpadli.“ Otóż gdy urabiał się język polski, wtedy Polacy nie uczyli się po francuzku dla tej prostej przyczyny, że język francuzki wówczas jeszcze nie istniał, na pytanie zaś pana A. A. K odpowiadamy że po polsku mówi się: „załatwiać sprawunki.“

Najciekawszą jednak, najpoważniejszą, a przez pana A. A. K. w sposób dziwaczny, bez znajomości języka i jego historyi, niekiedy zaś komicznie traktowaną jest kwestya ruchomych nazwisk kobiecych i panieńskich (Czechowiczowa,—ówna, Sapieżyna—anka i t. d.), która jest zakończeniem roztrząsanego artykułu.

Obfitością tych końcówek dla nazwisk kobiecych i panieńskich język polski przewyższa wszystkie inne języki.

(d. c. n.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani W. O. Prenumeratę kwartalną zapisano w kontroli, kop. 50 oddano ubogiej Matce.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 12 Февраля 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek,

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 9 r. 1880.

VILLA HORTENSIA,

przez

Antonio Caccianiga.

Przekład z włoskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Jak to? więc ta pierwsza próba jeszcze pani nie wystarcza?... nie obrzydło ci małżeństwo?

— Pozwól pan... Jeźli jestem nieszczęśliwa, nie tyle może jest to wina małżeństwa...

— Co męża! przerwał doktór.

— A może i nas obojga... W osamotnieniu mojem nie raz przychodzi mi na myśl, iż mogłabym była być szczęśliwa, gdybyśmy się byli wzajemnie więcej podobali sobie... Zawiniliśmy tedy oboje łącząc się z sobą nie poznawszy się dobrze, a to dla powodów ubocznych,—on ze złości, a ja z nudów... Sądzę jednak że jeźli oboje małżonkowie dobiorą się dobrze pod każdym względem, a szczególniej jeźli serca ich wzajemnem biją uczuciem, wtedy małżeństwo jest świętą instytucyą i może dać szczęście— o ile ono możliwem jest na świecie.

— Zapewnie... masz pani słuszność.

— Zawsze mi pan przyznajesz słuszność a myślisz inaczej... Chciałabym bardzo poznać rzeczywiste myśli pana.

— Moje myśli! zawołał, spoglądając na nią z nie dobrze ukrytą czułością — niestety! nie mógłbym wyjawić pani wszystkich moich myśli.

— Zauważyłam już nie raz że jesteś pan tajemniczym człowiekiem,—a orzucając go nieco figlarnem spojrzeniem, dodała: Ale odgadłam pana; uznałeś pan że jestem sobie naiwną kobieciną, i nie śmiesz powiedzieć mi otwarcie że w nic nie wierzysz... Rozmowy moje litość w tobie budzą, i myślisz sobie...

— Myślę że pani jesteś aniołem! że tworzysz zamięszanie w moich pojęciach i rozjaśniasz moją nieświadomość olśniewającym światłem... ale więcej powiedzieć pani nie mogę...

I pożegnał hrabinę nie mówiąc już ani słowa.

Codziennie tak rozmawiali z sobą. Berta objawiała mu swoje wrażenia, otwierała serce, pytała go i filozofowała po swojemu, Valentino zaś zamykał w sobie swoje uczucia i zwątpienia.

Odbywali długie przechadzki w górach. Niekiedy siadali na murawie pod cieniem wiekowego dębu; wtedy próbowała nawrócić go i wpoić mu swe spirytualistyczne pojęcia, a on starał się dać jej wierzyć że tego dokonała — ale Berta nie łudziła się tem wcale.

Pewnego razu patrząc na motyla latającego z kwiatka na kwiatek, Berta rzekła do doktora:

— Motyl ten szczęśliwszy odemnie... i jestże to słusznie i sprawiedliwie, abym była mniej szczęśliwą niż owad.

— Nie... odpowiedział, ani sprawiedliwie ani słusznie.

— Skoro w wszechświecie wszystko jest harmonią, wytłomacz że mi pan przyczynę tej anomalii..- Jak to zrozumieć że jedyna rozumna na świecie istota, zdaje się być skazaną, predestynowaną na cierpienie?

— Bo człowiek nie zadawalniając się tem co mu daje natura, tworzy sobie życie sztuczne i dąży zawsze do tego czego posiąść nie ma prawa.

— Czyż nie mam prawa być żoną i matką?

Doktór pochylił głowę i nic nie odpowiedział. Berta rzekła znowu:

„Ja powiem panu prawdziwy powód dla czego, w porównaniu z człowiem zwierzęta są szczęśliwsze... Bo życie ich i przeznaczenie spełnia się na ziemi, po której człowiek przechodzi tylko jak wędrowiec, wiedzący że oczekują nań w wyższych strefach."

Gdy podziwiał prześliczne krajobrazy tych wzgórz malowniczych, Valentino zwracał uwagę hrabiny na doskonałość dzieł przyrody, począwszy od wielkich do maluczkich; wskazywał jej firmament i cudowny bieg gwiazd; miriady owadów, skaczących, latających lub czołgających się po ziemi; niezliczone gromady ryb; niezliczone hufce zwierząt czworonożnych i ptaków zaludniających morza, ziemię i powietrze; niezliczoną różnorodność roślin oraz zadziwiającą rozmaitość kształtów, barw i cieni dozwalających je rozróżniać.

„Nic nie ginie w naturze!... zawołał; wszystko służy do pewnego przewidzianego celu.

— Miałożby stanowić w tem wyjątek nasze doczesne życie, w którem co chwila spotyka się położenia niewyraźne, rażące sprzeczności—które byłyby niepojętemi niesprawiedliwościami, gdyby nie było drugiego życia, przywracającego naruszoną tu równowagę... Możnaż przypuścić aby przedwieczna Dobroć i Sprawiedliwość kierująca naszemi losami, nie wynagrodziła cnotliwego a nieszczęśliwego człowieka, skoro źli tylu obsypani są darami? Zakłócałoby to doskonałą harmonię świata, gdyby potęga ducha panująca nad materią podlegała zniszczeniu, podczas gdy ukorzona materya jest nieśmiertelną?.. Jeźlić nic nie ginie w naturze, jeźli wielkie massy materyi organicznej, wolniej niż małe się rozkładają, dziwnem byłoby aby odnośnie do ducha i materyi przeciwny zachodził stosunek, i aby geniusz Galileusza unicestwił się już od dwóch wieków, a po dziś dzień przetrwały go jegó kompasy i lunety.

— Skąd i po co przychodzą pani do głowy podobne myśli?

— Po to abym w samotności i w bezsennych nocach, czerpała pociechę i siłę w mojej wierze w życie przyszłe.

Jakże to często wprawiały go w podziw jej rozmowy, pojęcia i teorye, wzniosłe myśli odrywające ją od ziemi i podnoszące ku wyższym sferom, gdzie z trudnością mógł podążać za nią. Ona przeciwnie bujała w nich swobodnie, jakby gołąbka zachęcająca do lotu młode ptaszę, nie mające jeszcze skrzydeł.

Niezwykła ta kobieta zaczynała wywierać na niego jakiś nieprzeparty urok, niepokoiła jego umysł i pojęcia, zmieniała nawyknienia. Oczarowany, nie probował nawet się bronić; porzucił ulubione księgi, uznawszy że jedno jej spojrzenie więcej mówi niż całe stosy książek, że każde słowo, więcej mieści w sobie prawdy, niż jakiś naukowy argument; i studiował ją jak najpiękiejsze dzieło przyrody. Patrząc na urocze jej kształty, zdało mu się że są one jakby tylko przezroczystą zasłoną, przez którą przegląda boska iskra jakiej nigdy dojrzeć nie mógł pod grubą powłoką dotąd spotykanych kobiet. Z książek nauczył się wątpić o wszystkiem— ona przeciwnie zniewoliła go że zwątpił o swych zwątpieniach, a wykazując mu błędy i zboczenia rozumu ludzkiego, przywiodła go do tego że zaczął myśleć sercem. Materialistyczne wierzenia zapełniały życie jego goryczą, obecnie rozkoszował się swemi zupełnie nowemi wrażeniami. Odnajdując w tajnikach przyrody cały świat nadziei, gotów był uwierzyć że potężna tajemnicza siła wyradzająca myśl nieśmiertelną nie może zagasnąć i unicestwić się tak nagle, zanim jeszcze słaba powłoka śmiertelna zacznie się rozkładać. Przeobrażenie się poczwarki w owad, wydawało mu się teraz objawieniem przyrody, dopomagającej umysłowi jego do rozwiązania trudnego tego problematu — i widział w wyobraźni boskiego i eterycznego motyla wychodzącego z ludzkiej powłoki, i jaśniejącego przy blasku gwiazd, na nieskończonym niebios lazurze.

Wierzyć! kochać, mieć nadzieję — były to rozkosze całkiem nieznane młodości jego. Oddany wyłącznie badaniu materyi, które kazało mu wierzyć jedynie w dowody pozytywne, nic nie kochać i niczego się nie spodziewać po za krańcami tego co sprawdzić może — nigdy nie przypuszczał żeby kiedyś mógł wierzyć, kochać i pokładać nadzieję w czemś niebiańskiem, niewidocznem jego oczom — a co jednak teraz odczuwał głęboko.

Nie kochał w Bercie żony swego przyjaciela—bo przed samą myślą taką cofnąłby się jak przed zbrodnią... kochał tylko w niej duszę wzniosłą i czystą, umysł eteryczny, ukryte światło objawiające mu najwyższe prawdy.

Harmonijny dźwięk jej głosu otwierał mu wrota nieskończoności, gdzie z zachwytem rozglądał się w nowych horyzontach, ku których pociągały go wzniosłe, nieznane mu dotąd dążenia, jakaś siła moralna nadprzyrodzoną obdarzona władzą, której nie mógł ani się dotknąć ani poddać pod rozbiór... a która przecież istniała.

Sami na szczycie bezludnej góry, zdala od społeczeństwa, w obec uroczego widoku przyrody oświetlonej świetlanemi promieniami słońca, zatopieni w niemej kontemplacyi arcydzieł Stwórcy, uczuwali w sobie nieograniczone uwielbienie dla Tego którego sama obecność „podtrzymuje przyrodę i harmonię praw wszechświata."

On który dawniej tak szydził z teoryi metafizyki i uważał za niegodne zastanowienia wszystko co tylko nie było materyą plastyczną, faktem pozytywnym, dotykalną rzeczywistością, czuł się ściśle przykutym—nie do kobiety ale do widziadła—więzłami silniejszemi od żelaznych kajdan. Czuł że zostaje pod władzą wielkiej i wzniosłej miłości, wolnej od wszelkich uczuć ziemskich, miłości której nie mógł uważać za znikomą i która zrodzić się tylko mogła w duszy, której istnienia przeczył.

Gdy po takich długich rozmowach przerywanych długiem milczeniem, czy to w salonie, czy w cieniu drzew lub wśród samotnych górskich ścieżyn, Valentino powracał do siebie w swoim skromnym ka-

briolecie, czuł się lepszym, skłonniejszym do czynienia dobrze, do znoszenia trudów i przeciwności życia; stawał się czulszym dla chorych, cierpliwszym dla starców, dobrotliwszym dla dzieci, litościwszym dla biednych, pobłażliwszym dla wszystkich — i w głębi duszy zmuszony był przyznać, że zbawienne te uczucia budziła w nim siła nieznana, niewidzialna i nie dająca się ująć, ale nader dobroczynne wywierająca skutki.

Samotny w swej pracowni, zamknąwszy księgi, rozmyślał nad tylu minionemi latami całkiem oddanemi badaniu tej marnej nauki, która w człowieku widzi tylko węglan amoniaku, chrorek potassium, fosfat sody, wapian magnezyi, żelazo, kwas siarkowy i nic więcej... lecz któż wlewa życie w te wszystkie materye?... Tego nauka nie wie — i sama tylko miłość odpowiedzieć na to może...

Lecz sama jej nazwa przejmowała go strachem... a gdy spokojniej zastanawiał się nad sobą, uczuwał ostre wyrzuty sumienia. Czarny jakiś cień przesuwał się w czystem jego sumieniu, przerażony zrywał się—wołając:

— A jeźli też ta wzniosła, czysta, święta miłość —jest tylko zwykłą miłością?... Nie kochałem nigdy, więc porównania zrobić nie mogę... Gdyby to eteryczne dziś uczucie, było tylko pierwiastkami pospolitej miłości?... gdyby uniesienia moje podobne były do zwykłych złudzeń zakochanych, a cała poezya wstępem do zmysłowych upojeń?... Ach! biada mi!... w takim razie byłbym nikczemnym zdrajcą, profanującym swem szatańskiem tchnieniem tego czystego anioła... tę kobietę która jest żoną mego nieobecnego przyjaciela... Nie! nie!... to niepodobna!... gdyby myśl tak występna mogła zrodzić się w moim umyśle, sam wymierzyłbym sobie sprawiedliwość... nie mógłbym żyć ani godziny wystawiony na niebezpieczeństwo naruszenia praw honoru i przyjaźni... Lecz jeźli umysł mój tępieje.., jeźli upajającymnie urok przyćmił jasność mego rozumu jeźli nauka rzeczywiście jasno widzi i przewiduje, a ja dałem się obałamucić złudzeniom serca?... A! któż mi wskaże gdzie jest prawda?... kto mnie uwolni od tej strasznej niepewności i zwątpień, odbierających mi ufność w samego siebie i zatruwającą rozkoszne rojenia mojej wyobraźni?... kto mi wykaże czy to co myślę, czy te wzniosłe żyjące we mnie uczucia są głosem i wynikiem duszy, lub tylko materialnemi ruchami mięśni i nerwów, prostem działaniem mózgowej substancyi?... Gdyby wszystkie te tak rozkoszne wrażenia, te słodkie upojenia serca były tylko oddziaływaniem materyi —i gdybym przekonany o tej prawdzie, nie uciekł natychmiast i nie przestał widywać tej kobiety, byłbym najniecniejszym zbrodniarzem, najohydniejszym zdrajcą?...

I starał się badać do głębi sumienie swoje, aby doszukać się rozwiązania trudnego tego problematu i rozwiązać go nie mógł; śledził, rozmyślał, błąkał się myślą po niewdzięcznych manowcach, i nie mógł wynaleźć ani jednego niezbitego argumentu, orzekającego stanowczo: czy jest uczciwym czy nieuczciwym człowiekiem.

Po długiem rozmyślaniu i debatowaniu sam z sobą, zdało mu się iż to jedno tylko wywnioskować może: iż był dziwną mięszaniną, zlepkiem obejmującym w sobie równą prawie ilość dobrego i złego.

„Otóż to czem jest człowiek!“ mówił sobie.

Jednakże czuł że sumienie mówiło mu iż jest uczciwym bo działa w dobrej wierze, że jednak dla zupełnego uniewinnienia powinienby zerwać tak niebezpieczny stosunek z tą piękną a opuszczoną kobietą—z drugiej jednak strony lękał się aby oddalając siebie nie naraził dobrej sławy najniewinniejszej kobiety w obec jej sług, którzy niezawodnie zauważyliby to nagłe jego odsunięcie się i niemylnie tłomaczyliby to sobie krzywdząco względem hrabiny. Postanowiwszy jednak niezłomnie przedsiewziąść jakieś zbawienne środki, przekonał się nareszcie iż jeden mu tylko pozostaje: nakłonić hrabinę aby opuściła villę, zgodnie z radą męża przedsiewzięła daleką podróż i zamieszkała w jakiejś odpowiedniejszej miejscowości.

Czuł to dobrze jak wielkiej siły duszy wymaga dokonanie tego postanowienia, jak strasznym, trudnym do zniesienia ciosem stanie się dla niego odjazd hrabiny, ale nie chciał myśleć o sobie, oddalał występne myśli świtające w jego umyśle; i postanowił w tym celu pojechać nazajutrz do villi.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca rozjaśniały piękny letni wieczór; przez otwarte okno wnikało do salonu orzeźwiające, wonią kwiatów nasycone powietrze; wszedłszy do salonu, Valentino spostrzegł że Berta prędko otarła oczy.

— Płaczesz pani? rzekł.

— Rozrzewnił mnie śpiew pliszki, odpowiedziała: towarzysz jej przywoływał ją z dala—i zdawało mi się że zrozumiałam ich mowę. Samiec żegnał swym śpiewem odbłyski zmroku, a samiczka przyzywała go do gniazda aby ją bronił przeciw nocnym przestrachom. A ja zawsze tak sama w ciemnościach życia, zapragnęłam także gorąco przedświtu jaśniejszych dni, końca cierpień moich... i mam nadzieję że nie długo już czekać będę.

— Berto, słońce codziennie tak jasnym blaskiem oświeca ziemię; przyroda uśmiecha się i rajską jaśnieje pięknością... a więc życie nie upływa w ciemnościach; w nas samych to panuje ciemność gdy czarne myśli zasępiają umysł i usposabiają nas do choroby—w takich razach należy uciec się do środków zaradczych...

— A więc lecz mnie, doktorze, zgadzam się... Ulecz mnie z tych strasznych cierpień od których serce pęka, z bolesnych marzeń, odganiających sen z powiek.. przepisz mi jakąś miksturę, pigułki lub proszki które wróciłyby mi utracony spokój, wyzwoliły duszę moją z otchłani ciemności... Dalej, czekam recepty.

— Szydzisz pani, a jednak łatwo mógłbym spełnić te żądania... Dawką digitalis, powstrzymałbym przyśpieszone bicie serca,.. granem morfiny, sprowadziłbym sen spokojny...ześrodkowanym promieniem słońca, rozpogodziłbym umysł... rozweselił cię... i mogłabyś zapomnieć o goryczach życia.

— O! dajże mi pan co prędzej ten skoncentrowany promień słońca... gdzież go szukać?...

— W piwnicy. Grona winnej latorośli chwytają słońce w swe złote lub ciemne jagody, a przemysł dystyluje je i zamyka w dobrze zakorkowane butelki.

— Chcesz więc, doktorze, upoić mnie dla uleczenia z melancholii?.. Lecz po wytrzeźwieniu byłabym smutniejszą jeszcze—a tak digitalis jak wszelkie leki twoje działają tylko chwilowo... Niestety! żadne środki materialne nie uleczą chorób moralnych...

— Prawda; medycyna nie ma środka na cierpienia duszy... jest to jeden jeszcze argument popierający zasady pani... Jednak na moralne cierpienia można znaleźć środki moralne: melancholię leczą rozrywki, smutek wyrodzony z samotności, leczy powrót do życia towarzyskiego. Pani potrzebujesz koniecznie jakiejś rozrywki, jako doktór i przyjaciel, zalecam podróż...

— Chcesz pan żebym ztąd wyjechała... ale jeźlibym zwiedziła wszystkie kraje małej naszej planety i powróciła do Brianza niby trochę lepiej, ale nie zupełnie uleczona, wtedy musiałbyś pan uznać że lekarstwo dobrze było zastosowane, więc należy tylko powiększyć dawkę — i gdzież posłałbyś mnie wówczas?...

Doktór nic nie odpowiedział.

— Widzisz zatem, doktorze, iż twoje lekarstwo moralne jest równie bezskuteczne jak leki materialne. Jedne nie mogą ciała uchronić od śmierci, drugie nie potrafią duszy zabronić wzdychać do życia przyszłego, doskonalszego, w nieskończoności eteru, zdala od ziemskiego kału, tam gdzie wieczna panuje jasność, gdzie łzy i smutki nieznane.

— A! zawsze jedne i te same marzenia!... Takieześrodkowywanie życia w mózgu oddziaływa szkodliwie na bezczynne członki ciała, i zaburza organizm.

— Chciałżebyś pan pozbawić mnie jedynego mego dobra, zabronić mi myśleć?...

— Chciałbym tylko ograniczyć działanie, myśli bo wszelkie nadużycie jest szkodliwe. Zapominasz pani że bezwarunkowo zabroniłem ci zajmować się metafizyką, jak w zapaleniach zabraniam rzeczy rozpalających.

— Czyli że zabraniasz pan myśleć biednej kobiecie, której jest to jedynem ratunkiem, jedyną ucieczką w samotności... Ach! mimowoli okrutnym jesteś doktorze.

— Ale cóż mam czynić, jeźli myśli te są jakby pochłaniającym cię płomieniem?.. Mamże zachęcać twoją hipokondrię, nie starać się powstrzymać zgubnych jej skutków?... Ach! mimowolnie jesteś pani niesprawiedliwą!...

Zamilkli na chwilę—potem Berta rzekła spokojnym głosem:

— O! jak ciężko żyć na świecie! jak różne są i sprzeczne sądy ludzkie, o najprostszych nawet rzeczach... I my, samotni w tej oddalonej pustyni, nie rozumiemy się i wzajemnie oskarżamy o okrucieństwo i niesprawiedliwość... nie możemy zgodzić się...

— Nie mów pani tego, przerwał doktór, może mniej niż sądzisz nie zgadzamy się z sobą... Wywarłaś nieprzeparty wpływ na moje życie...światło twoje i mnie rozjaśnia... widzę już daleko jaśniej... walczę jeszcze niekiedy dla honoru broni ale są to już jakby ostatnie przed końcem bitwy wystrzały... Zwyciężyłaś pani... Patrząc i podziwiając ciebie—muszę wierzyć, spodziewać się, podzielam wiarę twoją... zapominam o nauce, o świecie całym... myślę co i jak ty myślisz. . Ale pragnąłbym koniecznie uleczyć cię z tego głębokiego smutku, który tak głębokie ślady zostawia na twojej twarzy, tak odbija się w spojrzeniach... Chciałbym widzieć cię mniej nieszczęśliwą...

— Jestem nieszczęśliwą bo jestem niewolnicą, odrzekła, bo życie moje może być tylko jednym ciągiem łez, boleści i ofiary.,. bo straciłam matkę kiedy właśnie najpotrzebniejsze mi było jej doświadczenie i opieka—a są to niezwrotne, nienagrodzone nieszczęścia... Nie skarżę się, nie narzekam na los mój obecny—owszem, w nieszczęściu mojem, uważam to za szczęśliwy zbieg okoliczności że przybyłam do tej villi... gdzie przynajmniej znalazłam przyjaciela,—ale dręczy mnie niepokój, bo los mój jest niepewny, bo nie wiem jaka czeka mnie przyszłość... bo to się obawiam to łudzę nadzieją a nadzieja ta mnie przeraża... i wszystko w czarnych przedstawia mi się barwach,.. i rozpacz mnie ogarnia...

— Trzeba koniecznie coś przedsięwziąść, nie dręczyć się w tej samotności... szukać rozrywki lub

przynajmniej roztargnienia w podróży; nie unikać towarzystw, żyć odpowiednio do swego stanowiska...

— I zawsze mówisz pan o podróżowaniu... czyż tak koniecznie pragniesz abym oddaliła się stąd?

— Gdybym mógł mówić czego ja pragnę, przemawiałbym inaczej, odrzekł Valentino, —a obawiając się czy nie powiedział za wiele, dodał: Mówię tak jak tego dobro pani wymaga... zgodnie nawet z życzeniem męża twego...

— Mego męża!.. dla czego nadajesz pan ten tytuł hrabiemu?... czyżbyś przyznał mu jeszcze jakiekolwiek do mnie prawa?... Myślę że nie żądasz pan abym się uważała za niewolnicę związku, który unieważniliśmy za wzajemną zgodą?.,. Odtąd narzuca mi on tylko nazwisko i kajdany... potrafię nosić je z godnością—ale hrabia Cipriano Castelbreno nie jest moim mężem... i nie będzie nim nigdy... Pod tym względem zgodziłam się z nim chętnie, i sam pan byłeś świadkiem że wrócił mi wolność.

— I na cóż przyda się pani ta pozorna wolność, jeźli nie chcesz korzystać z niej aby szukać zapomnienia w obcych krajach, gdzieby piękności przyrody i sztuki, powab wyższego wyborowego towarzystwa, mogły choćby cokolwiek wynagrodzić coś utraciła skutkiem zaślepienia szaleńca i zrządzenia opłakanej fatalności.

— A jeźlibym usłuchała rady pana i postanowiła odjechać? gdybym ci powiedziała że jutro nie zastaniesz mnie już w willi... że się widzimy po raz ostatni i mamy rozstać i pożegnać na zawsze... powiedz szczerze, doktorze, czy rzeczywiście byłbyś z tego zadowolniony?

— Czy byłbym zadowolniony! zawołał tłumiąc głębokie westchnienie; możeż że pani podobne zadawać mi pytanie?... pani która smutne życie moje, rozjaśniłaś promieniem nadziemskiego światła?...

A zapominając o rozumnych rannych postanowieniach, dodał:

„Jesteś pani pierwszym i ostatnim uśmiechem mego biednego życia, które byłoby zagasło nie zaznawszy ciepła ani światła, gdyby niebiański płomień twój nie był rozjaśnił go swemi promieniami... gdyby pojawienie się twoje nie otworzyło mu nieskończonych horyzontów, tak wspaniałych i wzniosłych!... I możeszże pytać mnie czy oddalenie twoje, które roztoczyłoby w koło mnie tak straszną próżnię i ciemność, sprawiłoby mi rzeczywiste zadowolnienie!...

Nastało milczenie...

Słońce skryło się po za górami: złotawa jasność zmroku ustąpiła wieczornej ciemności. Ucichł śpiew ptaków — zastąpiło go brzęczenie owadów; przez otwarte okno wnikała do salonu przenikająca woń tuberoz i kaprifolium.

Po chwili Valentino rzekł pewnym głosem:

„Nie troskaj się o mnie, Berto; opuść tę willę, będzie to lepiej dla nas obojga.

Nic nie odpowiedziała: podniosłszy się zwolna przysunęła się do okna — Valentino zbliżył się do niej.

Noc zapadła, księżyc oświecił park bladawem swem światłem. Wsparci o balkon stali milcząc zapatrzeni w fantastyczne cienie, wytworzone promieniami księżyca. Lekki wietrzyk szemrał wśród liści: ziemia wyziewała upajające wonie. Zdawało się że jakiś płyn magnetyczny roztacza się w przestrzeni, przejmując nieprzepartem upojeniem i rośliny i żyjące istoty.

Stojąc obok siebie w milczeniu, Berta i Valentino podlegali wpływowi tego zachwycającego upojenia, posługując się całą siłą woli aby oprzeć się ogarniającym ich magnetycznym prądom — gdy w tem przerwał ten urok daleki turkot powozu. Opuścili balkon i zobaczyli że służba pobiegła do wjazdowej bramy, a za kilka minut powóz jakiś zatrzymał się przed peronem. Kamerdyner otworzył drzwiczki —z pojazdu wysiadł hrabia Cipriano, otulony podróżnym swym płaszczem.

XVII.

Usposobienie Berty i Valentino odbiło się w powitaniu hrabiego: przyjęli go zimno, z pewnem zakłopotaniem. Wszedłszy do salonu, hrabia postrzegł pomięszanie i zadziwienie Berty, wywołane tak niespodziewanym jego przybyciem.

— Daruj że wpadam tu tak niespodziewanie, ale jest w tem trochę i twojej winy... troskliwa pieczołowitość jaką otaczałaś mnie w ciągu tak długiej choroby, tak mnie rozbałamuciły, że teraz czując się cierpiącym koniecznie ciągnie mnie coś do villa Hortensia—nigdzie indziej wytrzymać nie mogę.

— Więc jesteś chory? zapytała.

— Byłem bardzo ciężko chory — odpowiedział, i jeszcze nie zupełnie zdrów jestem, czuję się mocno osłabiony...

Po chwili dodał.

— Nie sądź jednak że zamierzam nadużywać twej dobroci... poczem zwrócił się do Valentina, mówiąc: A i ciebie bardzo, bardzo mi brakowało...

— Dla czegóż nie zawiadomiłeś mnie? odrzekł doktór.

— Jak wiesz, chorzy zazwyczaj bywają niezdecydowanemi... choroba pozbawia siły woli. Z początku obawiałem się obrazić doktora który leczył mnie bardzo troskliwie... gdy się choroba wzmogła, nie mogłem zebrać myśli... a czując się zdrowszym uważałem że nie ma potrzeby cię trudzić... Gdy po krótkiem polepszeniu, uczułem się zagrożony recydywą, opuściłem co prędzej Wenecyę i przybywam powierzyć się opiece najdroższego mego przyjaciela i najzacniejszego człowieka... Potrzebuję jeszcze starań doktora, a szczególniej twojej przyjaźni...

Doktór kazał mu usiąść przy stole na którym służący zapalił lampę, wziął go za puls i wpatrzył się w niego uważnie. Berta stała milcząca.

— Masz jeszcze trochę gorączki, rzekł po chwili —jest to skutek znużenia podróżą... puls nieco za pośpieszny... ale połóż się i wypocznij... przyjdziesz do siebie.

Zadzwonił; gdy wszedł służący kazał mu przygotować pokój pana: Berta wyszła wydać rozporządzenie, przyjaciele zostali sami. Korzystając z tej sposobności, Valentino zapytał hrabiego:

— Cóż to znowu ma znaczyć?... gdzieżeś tamtą zostawił?

— Odjechała z Anglikiem...

— Diavolo! co ty mówisz?

— Mówię że odjechała...

— A! teraz rozumiem... gonisz więc za nią?...

— Bynajmniej!... nie myślę już o niej... musiało się to raz skończyć... i skończyło się... mniejsza o to!

— Wielka szkoda że nie skończyło się wcześniej.

— Prawda, ale cóż chcesz?... dziwne bywają zrządzenia losu.. Oh! te kobiety!

— Nic nie mówisz o mężczyznach?

— O! mój kochany, nie wiesz jak się odmieniłem!...

— Nie bardzo temu wierzę...

— A! wiem że ty w nic nie wierzysz... ale nie znasz kobiet... nie umiesz wyobrazić sobie ich przewrotności... ich niegodziwości pokrytej maską hipokrizyi... gdybyś wiedział jak Sara zachowywała się w Wenecyi, wtedy gdy ja byłem przykuty do łoża, boleści... Nasłuchałem się dość skandali... Nigdy nie byłbym przypuścił że po takim jaki dała mi dowód miłości, może zdradzać mnie tak potwornie.. O! masz wielką słuszność że w nic nie wierzysz!... No! nareszcie skończyło się... i rad z tego jestem... ale w pierwszej chwili, żal, wstyd, osłupienie, o ciężką przyprawiły mnie chorobę... myślałem że umrę... potem czułem taką czczość. taką straszną próżnię... a nareszcie ogarnęła mnie nieprzeparta potrzeba powrotu do tej villi, gdzie nęciło mnie wspomnienie troskliwej twojej opieki i szlachetnego postępowania Berty, i przybywam ożywiony gorącą żądzą wynagrodzenia moich błędów i posądzeń, wynikających z opłakanego zaślepienia w tej niebezpiecznej, strasznej kobiecie... Chcę już ustatkować się i postępować nienagannie... będę we wszystkiem słuchał dobrych rad twoich, tak pod względem fizycznym jak moralnym—to jest tak co do zachowania się w celu odzyskania bardzo nadwątlonego zdrowia, jak co do postępowania z Bertą.

— O! co do tego, zechciej mnie uwolnić... jest to kwestya tak drażliwa i delikatna...

— Cóż to znaczy... pokładam zupełną ufność w twoim rozumie i prawości.

— No, myśl najpierw o wyzdrowieniu.

Służący wszedł z zawiadomieniem że pokój już gotów, Cipriano poszedł się położyć; doktór mu towarzyszył i najtroskliwiej wyegzaminował. Zapisał mu coś uspokajającego i wyszedł zalecając najzupełniejszy spokój.

Zszedłszy na dół, wszedł do salonu po kapelusz, gdy w tem usłyszał otwierające się drzwi gabinetu, i Berta skinęła na niego. Gdy wszedł, zamknęła drzwi i rzekła stanowczym tonem:

— Żegnam cię, doktorze, postanowiłam pójść za twoją radą... wyjeżdżam jutro bardzo rano.

— Wyjeżdżasz pani! zawołał osłupiały, ale gdzież chcesz jechać?

— Sama nie wiem... namyślę się dziś w nocy... albo w drodze... W każdym razie wyjadę...

— Berto... zaklinam cię... nie odjeżdżaj...

— Jakto, doktorze, ty który podczas nieobecności tu hrabiego, nakłaniałeś mnie do podróży, teraz gdy on tu przybył żądasz abym pozostała?

— Bardzo naturalnie... kiedy byłaś sama, opuszczona... powinienem był namawiać abyś odjechała .. lecz teraz gdy Cipriano powrócił, uznaje swoje winy i pragnie je wynagrodzić — teraz powinienem powiedzieć: nie odjeżdżaj!

— Nie pojmuję cię... proszę, powiedz mi szczerze, po co mam tu zostać?

— Aby być siostrą miłosierdzia.

— A potem?

— Żoną.

— Nigdy!

— Jakto nigdy?... przecież jesteś pani żoną Cipriana.

— Nie! zawołała unosząc się, nie jestem jego żoną... nie chcę już teraz nią być... i nie będę nigdy.

— Berto, nauczyłaś mnie myśleć sercem, niechże mi wolno będzie prosić cię abyś myślała głową... nie łudź się... Cipriano powraca wolny od wszelkich więzów.

— Jakto? a gdzież kochanka jego?

— Odjechała—i zostawia ją swemu losowi. Po-

znawszy cię lepiej, hrabino, uległ urokowi jaki wywierasz... na wszystkich co cię znają.

— Zapominasz, doktorze, że wrócił mi zupełną wolność, że zgodziłam się na to, i dziś według woli mojej pragnę korzystać z tej wolności.

— I jakąż korzyść może ona pani przynieść? prawo odjęło ci ją nieodwołalnie, a honor pozostawia jedną tylko drogę—drogę obowiązku.

— Bywają obowiązki trudne do spełnienia.. niepodobna wymagać pokonania nieprzepartego wstrętu...

— Wymagam tylko abyś nie schodziła z drogi obowiązku...

— Ach! Valentino jesteś chyba wykutym z żelaza...

— Berto, i żelazo topnieje, i nie zdoła oprzeć się żarowi ognia... ale honor powinien być twardszym od żelaza... więc jeźli cudem nie straciło się zupełnie rozumu, trzeba umieć choćby śmiertelną stoczyć walkę.

— Ach! jesteś więcej niż człowiekiem!

— Jestem przyjacielem... bratem Cipriana! zawołał rozpaczliwie chwytając się za głowę—i pierś jego gwałtownem podniosła się łkaniem, zapłakał.

Patrząc na łzy jego i Berta nie mogła powstrzymać się od płaczu.

Po chwili Valentino powstał, i zbliżywszy się do Berty, podał jej rękę, mówiąc:

— Przebacz mi, pani... jestem słabym człowiekiem, ale nigdy nie uchybiłem prawom honoru i uczciwości.. Ty pani, jesteś aniołem.:. los skazał nas na ciężką próbę... ale powinniśmy pozostać wierni obowiązkowi... Cierpmy z odwagą—oczekując nagrody jaką nam zapewnia wiara.. Śmierć zrywa wszelkie węzły ziemskie i wraca duszy zupełną wolność. . w niej nadzieja nasza.

— Ach! masz słuszność, zawołała Berta; tam, w drugiem życiu, na wieki połączą się dusze, które świat bezlitośnie rozłączył tu na ziemi... tak, ziemia ta jest miejscem wygnania i prób które przetrwać trzeba.

— Otóż w tych słowach twoich jednoczy się głos wiary z głosem rozsądku, bądźmy mu posłuszni; przyrzecz mi że nie będziesz wyłamywać się z pod twego przeznaczenia i nie zstąpisz z twej drogi.

— Przyrzekam że we wszystkiem zastosuję się do rad twoich, odrzekła, niewysłowionem miotana wzruszeniem, — dodała jednak po chwili milczenia: Samo przez się się rozumie, że nie będziesz wymagać odemnie rzeczy niemożebnych. O tyle chcę zachować moją wolną wolę, aby nie dozwolić nikomu poniżać godności mojej... kieruj mną... bądź moim obrońcą.

— Nie potrzebujesz pani obrony — a ja daćbym jej nie mógł... Nie mogę taić sam przed sobą iż muszę bacznie czuwać nad sobą.. i że potrzebuję zebrać wszystkie siły aby zapanować nad ogarniającym mnie zawrotem, popychającym na krańce przepaści."

Pożegnali się uściśnieniem dłoni.

Gdy Valentino opuszczał villę, zdawało mu się że dzień ten trwał całe lata, a nazajutrz rano, po bezsennej, w gorączce spędzonej nocy, postrzegł że włosy jego posiwiały. Bywają w życiu straszne chwile, pozostawiające po sobie niezatarte ślady, i sprawiające w organizmie niezwrotne spustoszenia.

Wszedłszy do pokoju przyjaciela, był nadzwyczaj zmieniony i blady, i niezawodnie słabszy od niego. Berta spostrzegła to od razu, Cipriano, zajęty własnem osłabieniem, nie zwrócił uwagi na doktora, i spokojnie opowiadał mu jak noc przepędził.

— Nie mogę sypiać... czuję się bardzo rozstrojonym i jakby niespokojnym.

— Jesteś nerwowy, rzekł doktór, ale nie ma nic ważnego—a dla uspokojenia pacyenta, dodał: Weź mnie za puls, a przekonasz się o ile jest nieregularniejszy.

— Dla Boga! zawołał hrabia, zwracając oczy na przyjaciela, co ci się stało? puls bije tak gwałtownie i tak nieregularnie... co tobie?

— Nic... jest to tylko daleko silniejsze niż u ciebie rozdrażnienie a stąd i cierpienia nerwowe—ale nie zważając na nie, pilnuję moich zajęć... Pozostań w łóżku, leż spokojnie. a jutro wstaniesz zdrów.

Jakoteż nazajutrz hrabia czuł się już zupełnie dobrze, wstał, ubrał się i wyszedł zaraz do stajni. Napisał do Medjolanu, aby mu odesłano do villi jego powozy i konie. W kilka dni później, można go było spotykać na drogach sąsiednich, już to konno, już w kabriolecie lub czworo-konnym powozie, który sam powoził. Kilka razy proponował hrabinie aby mu towarzyszyła, ale ani słyszeć o tem nie chciała Cipriano nie mógł pojąć tej odmowy, gdyż zdawało mu się że nie ma większej przyjemności w życiu. Tak był już znudzony i przesycony gondolami i kanałami, iż nie mógł się nacieszyć końmi których tak dawno był pozbawiony.

Przyswoił sobie wszelkie regularne nawyknienia rodzinnego życia; gdy tylko zadzwoniono na obiad lub na śniadanie, wchodził do sali jadalnej, zasiadał naprzeciw hrabiny i rozmawiał. Nigdy jednak nie był sam z żoną, bo służba nie oddalała się z jadalnej sali, odbierając półmiski przez otwór urządzony w ścianie, graniczącej z kuchnią. Po wetach, hrabina wychodziła zaraz i zamykała się w swoim pokoju, i dopiero gdy hrabia udał się na przejażdżkę, wychodziła przejść się do ogrodu. Śledził bacznie te manewra żony i zachowywał się nadzwyczaj przezornie, nie dziwiąc się okazywanej mu surowości. gdyż przypominał sobie zawartą z nią umowę.

Widział że skutkiem jego zboczeń i błędów, serce Berty zupełnie odwróciło się od niego, i nie miał zamiaru powoływać się na prawa swoje, które pierwszy zdeptał z pogardą i zwolnił od nich zupełnie opuszczoną żonę. Tak w małżeństwie jak w polityce, nic nie znaczą najświętsze prawa jeźli brak faktu posiadania, i tak utraconą miłość jak i utracone territorium na nowo zdobywać potrzeba.

Obraziwszy kobietę tak dotkliwie, pozbawiwszy ją wolności przysługującej młodej dziewczynie i zrobiwszy ję wdową choć nigdy nie była żoną, postąpiwszy z nią tak niegodnie i nielitościwie, nie mógł tak od razu zatrzeć przeszłości i zapoznając uczuć najprostszej delikatności, domagać się praw męża jakby z nakazem komornika.

Nie posuwał się jeszcze do tego stopnia cynizmu —ale nawykły nie napotykać przeszkód w najtrudniejszych nawet przedsięwzięciach, dziwnem mu się to jakoś zdawało, że mu nie wolno tego co mu wolno. Zawady i trudności podniecały jeszcze żywą jego wyobraźnię, i gorąco teraz pożądał tego czem sam pogardził. Chciał odzyskać za jaką bądź cenę odtrąconą żonę, a obliczając wszelkie szanse powodzenia, osądził iż znajduje się w jak najwięcej sprzyjających mu okolicznościach dojścia do zamierzonego celu. Zaczął więc okazywać Bercie największy szacunek i względy, był uprzejmym, nadskakującym, a to w nadziei że powoli zapomni ona i przebaczy mu przeszłość, że zdoła natchnąć ją ufnością w przyszłość i zbudzić w jej sercu dawną dla siebie życzliwość. Spostrzegł się jednak niebawem że zbyt trudne przedsięwziął zadanie. Poważna i pełna godności w całem obejściu, Berta okazywała zimną obojętność; na grzeczności i nadskakiwania odpowiadała wyrachowaną oziębłością, i nie umiała nawet ukryć przerażenia jakie budziła w niej ta nagła zmiana w postępowaniu hrabiego. Bierny ten opór, podniecał go jeszcze bardziej i zawzięciej jeszcze gonił za skarbem utraconym z własnej winy. Berta wydawała mu się teraz codzień piękniejszą, zdolną najgwałtowniejszą wzbudzić namiętność.

Zrozumiał to jednak dobrze iż całe zachowanie się obrażonej żony, tak pełne godności i taktu, nakazywało mu jak największą przezorność, i że jedyną bronią, jaką mógł walczyć z tak nieubłaganą obojętnością—był jak najgłębszy szacunek.

Sama myśl że hrabia mógłby zapragnąć cofnąć dane słowo, jakiem zwolnił ją od wszelkich względem siebie obowiązków, przejmowała Bertę dreszczem przerażenia—to też z niewymowną trwogą patrzyła na zmianę jego postępowania, zdradzającą jego zamiary. Byłaby już opuściła villę, gdyby nie nalegania doktora Valentino aby się nie oddalała, i gdyby jakaś nieprzeparta siła nie zatrzymywała jej w tej miejscowości.

Biedna ta kobieta w okropnem znajdowała się położeniu: musiała jednocześnie walczyć z uczuciem którego wzbraniała jej cnota i honor, i z obowiązkiem który teraz w jej przekonaniu stawał się dla niej zniewagą.

Widząc że nie posuwa się ani o krok dalej, Cipriano łamał sobie głowę nad wynalezieniem jakichś skutecznych środków i szukał sprzymierzeńców.

„Kto mógłby mi przyjść w pomoc? pytał sam siebie. Trzebaby aby ktoś rozsądny przemówił jej do serca i do rozumu przełożył że podobnie dumno-pogardliwe postępowanie nie przystoi prawej żonie i jest w rażącej sprzeczności z dotychczasowem jej postępowaniem. Czemuż nie odjechała stąd, gdy zupełną jej w tem zostawiłem wolność; mogła przecież przypuszczać że kiedykolwiek powrócę do villi, a skoro pozostała w niej, to dowód że nie uczuwała do mnie tak nieprzepartego wstrętu. Do pewnego czasu, jej niechęć i obojętność mogą być wytłomaczone, ale przecież zawsze tak pozostać nie może... Powróciłem tu wolny od innych stosunków, a zastawszy ją okazałem żal za winy moje, stałem się pokorny i uległy, żyję obok niej życiem rodzinnem, otoczyłem ją najgłębszym szacunkiem i względami, znoszę bez skargi jej oziębłość i odmowy, okazuję na każdym kroku że pragnę wynagrodzić moje przewinienie — niepodobna aby nie odgadła jaką władzę wywiera nademną—dłuższy opór byłby śmiesznym.. i grzesznym. Pomówię o tem z Valentinem—niech on będzie naszym sędzią."

A że obecnie doktór bywał bardzo rzadko, napisał do niego prosząc żeby przybył niezwłocznie, gdyż pragnie z nim pomówić.

Jak zawsze, Valentino niezwłocznie stawił się na wezwanie. Cipriano nie mógł nie spostrzedz jak bardzo był zmieniony. Od czasu ostatniego widzenia bardziej jeszcze pobladł, a nawet schudł znacznie i postarzał.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 8.

(Dokończenie).

N. 8—12. Chusteczki odpowiednie na krawaty i negliżyki.

Trzy chusteczki przedstawione na ryc. 8—10 liczą każda po 40 cent. w kwadrat; środek stanowi kwadracik 12 cent. długi, z materyi jedwabnej, oszyty w około wszywką bretońską 4 cent. szeroką, szlakiem haftowanym i plisowaną lub gładką koronką 6 cent. szeroką. Rycina 11—12, załącza dwa rodzaje szlaków.

N. 13—15. Serwetka na okrągły stoliczek.

Stoliczek odrobiony z drzewa jasno politurowanego, 74 cent. wysoki, odpowiedni do postawienia w salonie lub buduarze, ma ośmiokątny blacik, przykryty serwetką z jasno piaskowej kanwy kongresowej, zakończonej szlakiem z kratek ażurowych i koronki nicianej, spadającym nakształt lambrekiny. Rycina 15 przedstawia czwartą część deseniu wyszytego krzyżykami, dwunitkową filozelą; wzór kratki wskazuje ryc. 14.

N. 16. Sukieneczka dla dziewczynki lat 4—6.

Odrobiona jest formą princesse z rodzajem vêtement, odznaczonego tylko na sukience i dopełnionego 26 cent. długą spódniczką, z przodu i z boków ozdobioną trzema po 6 cent. szerokiemi plisami i 5 cent. szeroką koronką. Tylne bryciki złożone w kontrafałdę. Rycina 16 przedstawia sukieneczkę z blado różowego wełnianego materjału i z kamizelką z jedwabnej adamaszkowej materyi; wypustki atłasowe. U dołu pleców i na ramionach kokardy z wstążki atłasowej 4 cent. szerokiej. Pończoszki w paski różowe z białem.

N. 17. Ubranie dla chłopca lat 5—7.

Odrobione jest z ciemno zielonego sukienka i składa się z żakietki długiej półwciętej, zapinanej od góry na haftki i z majtek sięgających trochę za kolana, przyszytych do spodniego stanika lub założonych na szelki. Zwracamy uwagę na długą kamizelkę z jasnego kaszmiru wysuwającą się z pod skośno ściętych brzegów żakietki. Skromne przyozdobie stanowi 4 cent. szeroka pliska z aksamitu w paski, obejmująca brzegi ubrania.

N. 18. Sukieneczka princesse formą kaftanikową.

Odpowiednia jest dla malej dziewczynki lat 6 do 8, odrobiona z ciemno piaskowego wełnianego materyału i piaskowego jedwabnego repsu w deseń kolorowy. Przody tworzą kaftanik spięty na dwa rzędy i są z materyału jedwabnego, zaś fałdowane plecy, rękawy i kołnierz są z gładkiego. Kaftanik dopełniony jest falbaną 25 cent. szeroką, z przodu i z boków ozdobioną jedwabnemi kontrafałdami. Kokardy z wstążki 3 centym. szerokiej.



N. 1. Ubranie spacerowe z paletocikowem vêtement. Krój i plecy na arkuszu z formami Nr II, Fig. 7—12.

N. 2 i ryc. 38 — 39 w N-rze 10 Tygodnika. Suknia ze stanikiem bluzkowym dla panienki lat 10—12. Krój stanika Nr VIII, Fig. 36—41.

N. 19—23. Ubrania na bal kostjumowy.

N. 19—22 i 23. Kostjum fantazyjny wschodni.

Odpowiedni szczególniej dla pięknej brunetki, składa się z majtek ponsowych atłasowych, przysłoniętych zupełnie dwoma fartuszkami batystowemi haftowanemi złotem. Na wierzchu fantazyjnie przewiązana draperja z tureckiej materyi przepięta haftowaną rozetą i zakończona ciężką frendzlą jedwabną. Gorsecik ponsowy aksamitny z krótką baskiną ma z przodu plisę ze złotej materyi a w około brzegów piękne haftowane szlaki. Głowę można uczesać podług ryc. 19 i przybrać bogato perłami. Naszyjnik z pereł; bransolety złote wyrabiane ażurowo. Pończoszki i trzewiczki jedwabne atłasowe złotem haftowane.

Dla czytelniczek lubiących charakterystyczne kostjumy, podajemy na ryc. 22—23 dwa wschodnie ubrania głowy: Narodowy strój czarnogórki i przybranie głowy jak noszą sułtanki.

N. 24. Suknia wieczorowa ze strojnie przybraną spódnicą. Patrz ryc. 43 i ryc. 33 w N-rze 7.

Odrobiona jest z niebieskiego atłasu i ma spódnicę z wielkim trenem oszytą u dołu 6 cent. szerokiem plisowaniem, 5 cent. szeroką plisą i koronką lekko namarszczoną. Przedni bryt przysłonięty jest 115 cent. długim brytem z gazy białej jedwabnej w pasy, podpiętym w środku w dwie fałdy zwrócone ku górze. Krój draperyi zdobiącej spódnicę załączamy w maleńkim formacie na ryc. 43; *a* oznacza mocno odstające, górne części panier sfałdowane podług znaków; niższe części przykrojone podług *b* przyszywają się z górnym brzegiem wprost na bocznych klinach sukni. Tylna draperja na trenie sukni składa się z dwóch długich brytów *c*, skośno ściętych z boku, zszytych z tyłu przez całą długość i podpiętych w głębokie fałdy. Dwa zęby utworzone u dołu oszyte są frendzlą i spadają na tren. Stanik dopełniony kamizelką z białego atłasu, jest równie jak draperja z materyi adamaszkowej. Kokardy z wstążki atłasowej; frendzla z jedwabiu i szneli gdzie przerabiana nitką złotą.

N. 25. Suknia aksamitna. Patrz ryc. 34 w N-rze 7.

Wspaniałe to ubranie wykończone jest z ciemno ponsowego aksamitu i atłasu i ozdobione 10 cent. szerokim szlakiem, haftowanym wprost na aksamicie. Długi stanik z baskiną dopełniony jest atłasowym plastronem, składanym w równych odstępach w poprzeczne fałdy, 33 cent. długim, w górze 20, w pasie 10 u dołu 15 cent. szerokim; kwadratowy wykrój szyi zapięty dwoma ranwersami ogarnirowanemi koronką, złączonemi kokardą lub kwiatem. Draperju zdobiąca suknię z długim trenem, składa się z dwóch brytów atłasowych podpiętych à panier, u dołu przerzucona draperja aksamitna z dwóch brytów ozdobionych haftem. Upięcie na trenie sukni, wskazane na ryc. 34 w N. 7 składa się z dwóch brytów po 44 cent. szerokich a po 190 długich u dołu zaokrąglonych i zakończonych haftem. Szeroka falbana aksamitna u dołu sukni podszyta jest atłasem i ułożona w kontrafałdy.

N. 26. Ubranie ślubne.

Treny które zaczynają już odrzucać przy toaletach lekkich balowych a nawet przy sukniach jedwabnych na obiady proszone, przy sukniach ślubnych utrzymują się w okazałej długości, gdyż ubranie ślubne przy skromności i prostocie wymaga powagi. Suknia przedstawiona na ryc. 26 odrobiona z atłasu, gładka formą princesse z tyłu zapinaną na guziki, z długiemi szeroko otwartemi rękawami, dopełnionemi w środku obcisłemi suto bufowanemi rękawkami z illuzyi. Przyozdobienie sukni stanowi wspaniały haft jedwabiem lub srebrem, odznaczony wypustką, którego szerokość u dołu sukni wynosi 30 cent. przy rękawach i wykroju szyi 12.

N. 27—28. Ubranie dla druchny lub wieczorowe dla młodej osoby.

Przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 27—28 suknia z różowego batystu, odrobiona z krótkim trenem, ma spódnicę zakończoną plisowaniem i bufami. Bryt przedni o ile widać jest przykryty bufkami; dolne części panier oszyte są wzdłuż przodu plisami atłasowemi i bufkami po 6 cent. szerokości; górne suto fałdowane panier zakończone jest kilkakrotnie przemarszczoną bufką z nagłówkami. Draperya z tyłu sukni składa się z prostego bryta, podpinanego kokardami podług ryc. 28. Stanik przyciśnięty z przodu paskiem, ma dodany plastron z bufek odpowiednio do przodów sukni z boków zakończony sutym wachlarzowatym garnirunkiem, boczki i plecy przedłużone są w baskinę, podpiętą kokardami podług ryc. 28.

N. 31—33. Poduszka do kanapy.

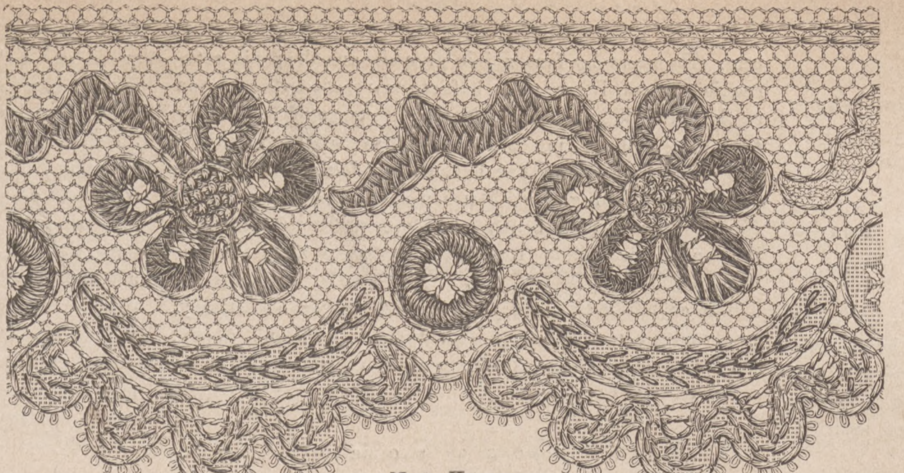
Uszyta z jedwabnego pluszu, blado oliwkowego koloru, ozdobiona jest naszyciem z bogatej koronki, efektownie odbijającej od tła.

Ryc. 33 przedstawia w naturalnej, wielkości narożnik koronkowego szlaku, liczącego w kwadrat 39 cent. Koronka ta odrobiona jest z białej jedwabnej tasiemeczki, białego jedwabiu, nici złotych i złotego sznureczka. Nitką złotą i jedwabiem zapełniają się środki na liściach; tło a raczej spajanie między liśćmi dane jedwabiem, ściegiem dzierganym z pikotami. Sznureczek złoty przyszyty jest niewidocznie żółtym jedwabiem, środkiem tasiemeczki. Na zszyciu pluszu z boków poduszki dana torsadka 3 c. szeroka, z nici złotych i jedwabiu koloru pluszu.

N. 34 i 41. Oprawa do bukietu á la Pompadour.

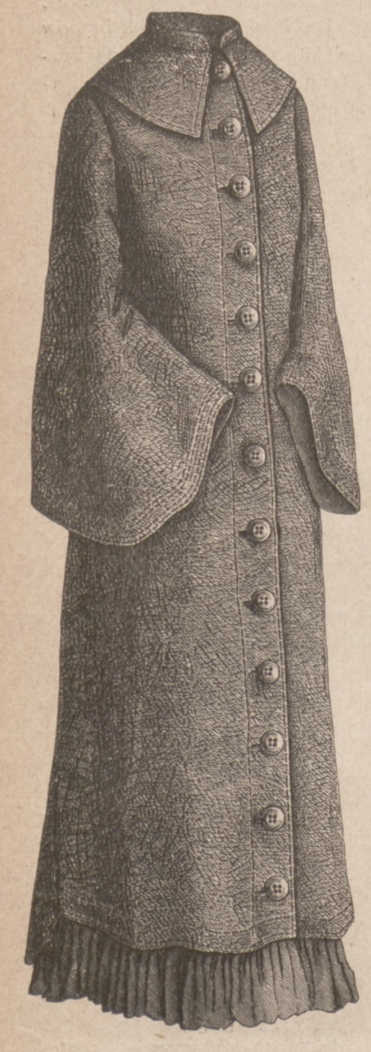
Rycina 34 przedstawia najnowszą formę oprawy do bukietu balowego, odrobioną z białego atłasu i koronek. Oprawę trzeba przygotować z kawałka tektury 12 cent.

długiego, u góry 8 u dołu 4 cent. szerokiego, pokrytego atłasem; górną część wykrawa się podług ryc. 41, łączy za wązkie brzegi poprzeczne i zszywa z osadą przygotowaną poprzednio, na złączeniu dane przewiązanie i kokarda z wstążki atłasowej. Przyozdobienie górnego brzegu wskazuje ryc. 34, składa się ono z koronki i plisowania atłasowego.



N. 3. Koronka kremowa fabryczna w guście wschodnim wyszyta kolorową filozelą.

zapinają się na guziki lub kryte haftki tylko do baskiny, lub też do samego dołu, lecz w tym ostatnimi razie, szwy boczne są u dołu otwarte. Obłożenia nie daje się wcale, lub tylko na kołnierzu i przy rękawach. Na ryc. 1 przedstawiony jest nowy rodzaj obłożenia, z pojedyńczych szypułek piór, gęsto jedno przy drugich naklejanych na perkalu. Części formy Fig. 7 — 9 trzeba podług podanej miary przedłużyć, a całość zestawić podług Fig 7—12 a. Na Fig. 12b widoczne są plecy okrycia.



N. 4. Płaszczyk z pelerynowemi rękawami. Plecy na ryc. 5. Krój N. I, Fig 1—6a.

N. 39—40. Paletocik dla małego dziecka.

Rycina 39 i 40 wskazuje paletocik z podwójną pelerynką, przy którym plecy króciej podcięte zakończone są małą kokardą. Rycina 39 przedstawia zprzodu paletocik z niebieskiego kaszmiru lekko podwatowany z jedwabną podszewką; pelerynka wykłady na rękawach kieszonkach i dół paletocika ozdobione kilkoma rzędami stębnówki. Kołnierzyk i mufeczka z kotów morskich. Paletocik ryc. 40 jest z jasno popielatego miękkiego materyału ozdobiony puszkiem białym.

Opis do N-ru 9.

N. 1. Ubranie spacerowe z paltocikowem vêtement. Krój i plecy na arkuszu z formami N. II Fig. 7—12.

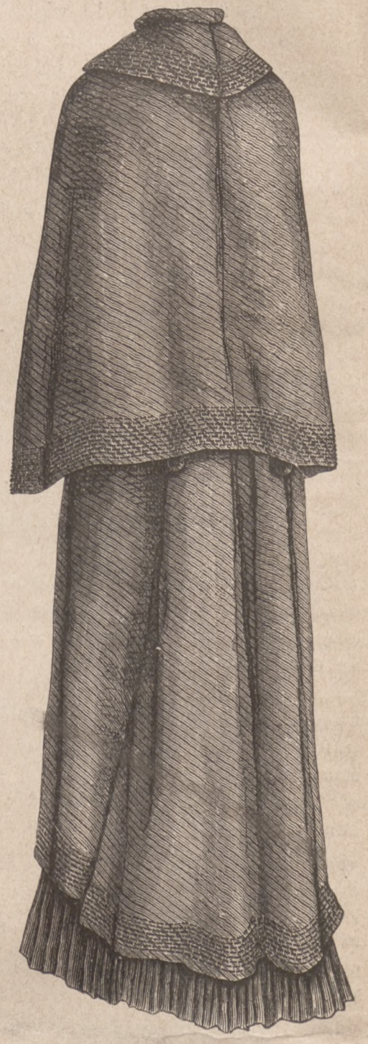
Tak długo modne następnie trochę zarzucone vêtement zwane „Polonaise" obecnie znów bardzo są używane lecz z różnemi świeżemi zmianami kroju, zbliżającemi je więcej do paletotów obcisło wciętych w stanie a niżej gładko spuszczonych. Główną ozdobę stanowią rękawy szerokie w długi koniec ścięte. Takie okrycia robią się z pluszu, aksamitu lub stosownych wełnianych materjałów gładkich lub deseniowych na podszewce jedwabnej, która szczególnie w rękawach jest widoczną. Przody



N. 7—8 i ryc. 41—42 w N. 10. Płaszczyk z wyłogami z szala w guście indyjskim.

N. 2 i ryc 38—39 w N. 10 Tygodnika. **Suknia** ze stanikiem bluzkowym, dla panienki lat 10 do 12. Krój atanika N. VIII, Fig. 36—41.

Do ubrania złożonego ze spódniczki i Stanika bluzkowego z baskiną dodany jest na ryc. 38 i 39 w N. 10. paletocik wcinany bez rękawów, dopełniający wiosenne spacerowe ubranie. Spódniczka krótka, oszyta plisowaniem 20—30 cent. szerokiem może być gładką jak na ryc. 2 lub ozdobioną draperyą jak na ryc. 38, którą układa się ze skosu 80 cent. szerokiego, z przodu i z boków do jak końce szal... 14 centym. sfałdowanego, z tyłu przewiązanego. Przody i plecy bluzki są na gładkiej podszewce w fałdki ułożone, a w górze w karczek wszyte; pasek skorzany lub z tego co suknia materyału. Rękawy mogą być gładkie jak na ryc. 2, przy zwierzchnim szwie na guziczki zapinane, albo ozdobione zgrabnym mankietem jak na ryc. 39, formę mankieta dajemy na Fig. 41. Pod paletocik daje się flanelkową podszewkę.



N. 5. Płaszczyk z pelerynowemi rękawami. Przód ryc. 4. Krój N. I, Fig. 1—7.

N. 3. Koronka w guście wschodnim.

Na kremowej fabrycznie robionej koronce, daje się ręcznie wyszycie filozelą różno-kolorową, ściegami naprób ce wskazanemi. Do grubszych koronek bierze się filozelę potrójną, do tła cienkiego podwójną. Domieszanie niektórych ścieżków wyszytych nitką złotą podwyższa piękność koronki.



N. 6. Szlak do wyszycia na aksamicie gładkim lub wyciskanym w deseń.

N. 4—5. Płaszczyk z pelerynowemi rękawami. Krój N. I Fig. 1—6.

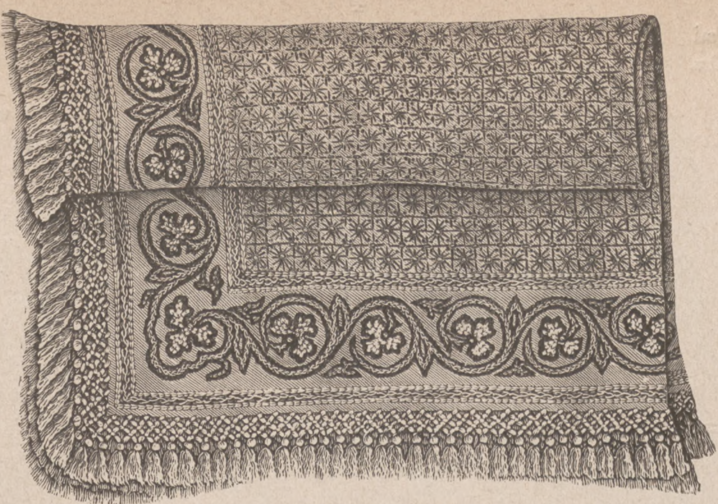
Płaszczyk zrobić można z wszelkiego nieprzemakalnego materyału jak, Waterproff, Tweed, lub Chewiot; brzegi ozdobić dwoma rzędami stębnówki a przody zapiąć na rogowe guziki. Fig. 1--6 przedstawia razem ze stawione wszystkie części płaszczyka, którego plecy poniżej wcięcia w stanie są sfałdowane, jak to widać na ryc. 5. Przez dodanie do peleryny od spodu części na Fig. 4. podanych, takowa stanowi zarazem dogodne rękawy. Przodki i boczki dla braku miejsca podane oddzielnie, z materyału trzeba krajać razem i przedłużyć podług oznaczonej miary. Część dolna fałdowana pleców, powinna mieć 60 cent. szerokości i być w górze ucięta prosto podług nitki. Gdy boczki zeszyją się z plecami od *B—C*, a dalej do dwukropka do dołu, trzeba brzeg górny boczka założyć od *C* do dwukropka w jedną, a brzeg pleców od dwukropka do pleców cztery fałdy do 26 cent. szerokości. Następnie część fałdowaną złożyć w każdej połowie płaszczyka do spodu we dwoje, jak to kropkowana linijka oznacza, złożone fałdy objąć skośną listewką, a podwinięcia zczepić ze sobą w środku pleców. Pelerynę przyszyć do pleców od *K—D*, od *D — E* wszyć między szew ramion, a od *E* do *G* do wykroju pachy z przodu. Od *G* do *H* przyszywają się spody rękawów do peleryny, a z drugiej strony od *G* przez *A* do *J*, przyszywają się takowe do przodów.



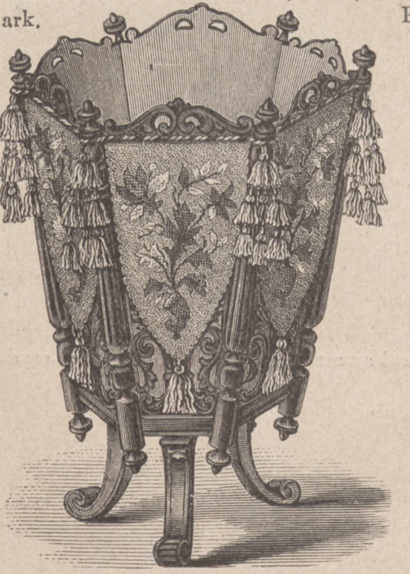
N. 9. Bukiecik goździków na kokardzie do kołnierzyka.



N. 10. Bukiecik z kwiatów aksamitnych z liśćmi jedwabnemi do krawatki.



N. 12. Serweta na stół ozdobiona lekkim haftem i wyszyciem ze sznureczków różnokolorowych szydełkowych. Deseń na ark. Fig. 26.



N. 18. Kosz na papiery ozdobiony haftem krzyżykowym.



N. 14. Półwycięty stanik do sukni balowej.



N, 13 Wązki szlaczek do serwety N. 12. Wyszycie sznureczkiem i ściegiem cierniowym.



N. 15. Wycięty stanik z plastronem szmizetkowym.



N. 16. Krawatka ozdobiona haftem maszynowym.

Brzegi przodów podszywa się pod dziurki i guziki listewką 10 cent. szeroką. Pod pelerynę także jak szeroko zajmą stębnówki daje się skośną listewkę z tego co wierzch materyału. W kołnierz wykładany daje się sztywny muślin, a następnie takowy razem z płaszczykiem i peleryną wszywa się w mały stojący kołnierzyk.

N. 6. Szlak do wyszycia na aksamicie gładkim lub w wyciskany deseń, filozelą kolorową lub do cieniu, o trzech nitkach. Deseń powiększony być winien do 12 cent. szerokości.



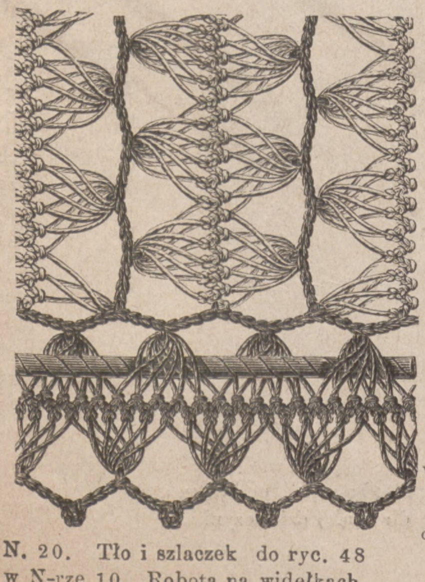
N. 11. Wachlarz okrągły z piór.

N. 7—8 i ryc. 41 — 42 w N. 10 Tygodnika. **Płaszczyk** ozdobiony wyłogami z indyjskiego szala. Odpowiednia mufka na ryc. 9 w N. 10.

Ryciny 7—8 przedstawia przód i plecy płaszczyka z dubeltowego czarnego kaszmiru ozdobionego szerokiemi wyłogami z szala indyjskiego, podszytego lekko watowaną podszewką z ponsowego atłasu. Płaszczyk taki stanowi lekkie okrycie do toalet balowych, lub do spacerów wiosennych do powozu. Bogata frendzla w mieszanych kolorach szalu, zdobi dół i rękawy. Stosowną mufkę podajemy na ryc. 9 w N. 10; forma jej jest trochę zaokrąglona, długość górna wynosi piętnaście, dolna 28 cent szerokość tylko 37 cent. obwodu. Środek zajmuje pas futra lub szlak z piór, a brzegi obłożone z kawałków szalu. Na ten cel służą tanie na indyjskim kaszmirze fabrycznie w guście wschodnim haftowane szale, lub już używane chustki tureckie, które ożywić można ręcznym hafte n w sposób wskazany na ryc. 51--52 w N. 10.



N. 17. Krawatka ozdobiona haftem płaskim. Deseń na Fig. 29.



N. 20. Tło i szlaczek do ryc. 48 w N-rze 10. Robota na widełkach. Próbka ryc. 21b, widełki 21a.



N. 21b, Próbka roboty na widełkach do ryc. 20. N. 21a. Widełki do roboty torsadki.



N. 19. Lambrekina i deseń do ryc. 18.

1-szy 2-gi 3-ci cień włóczki zielonej 4-ty 5-ty jedwabiem zielonym

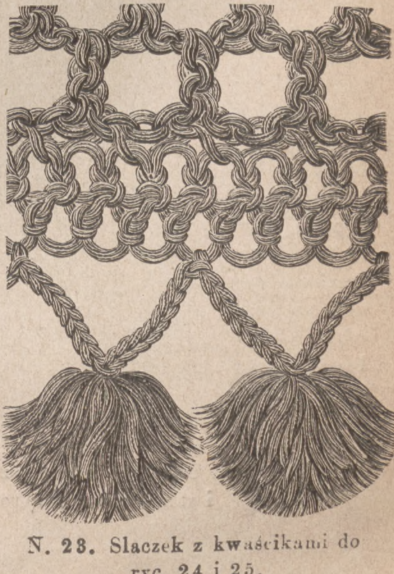
1-szy 2-gi cień włóczki piaskowej 3-ci 4-ty jedwab piaskowej



N. 22. Próbka roboty szydełk. z rozetkami do r. 25.

1-szy 2-gi i 3-ci cień włóczki niebieskiej 4-ty i 5-ty jedwab niebieski

jedwab ciemno oliwkowy 1-szy 2-gi 3-ci jedwab bronzowy ciemno ponsowa włóczki



N. 23. Slaczek z kwiacikami do ryc. 24 i 25.

Na przyszyciu obłożenia do tła, wyszyć odpowiedniemi kolorami szlaczek podany na ryc. 41 lub 42. Dla braku miejsca formę pleców wraz z rękawem musieliśmy podać w dwóch częściach Fig. 33A i 33B, które podług gwiazdek i dwukropków razem zestawić i z materjału w całości przykroić trzeba; następnie przody z częściami pleców zeszyć na ramionach od $A-B$, a u dołu od E do ┼, dalej plecy zaszywają się na rękaw od C do B a od B przez D do E wszywa się rękaw do pachy z przodu. Środkowe części pleców dają się z szalowego materyału, a forma i szerokość obłożenia przodów oznaczona linijką na Fig. 32a.

N. 9. Bukiecik z ciemno ponsowych goździków na kokardzie z czarnej 8 cent. szerokiej aksamitki.

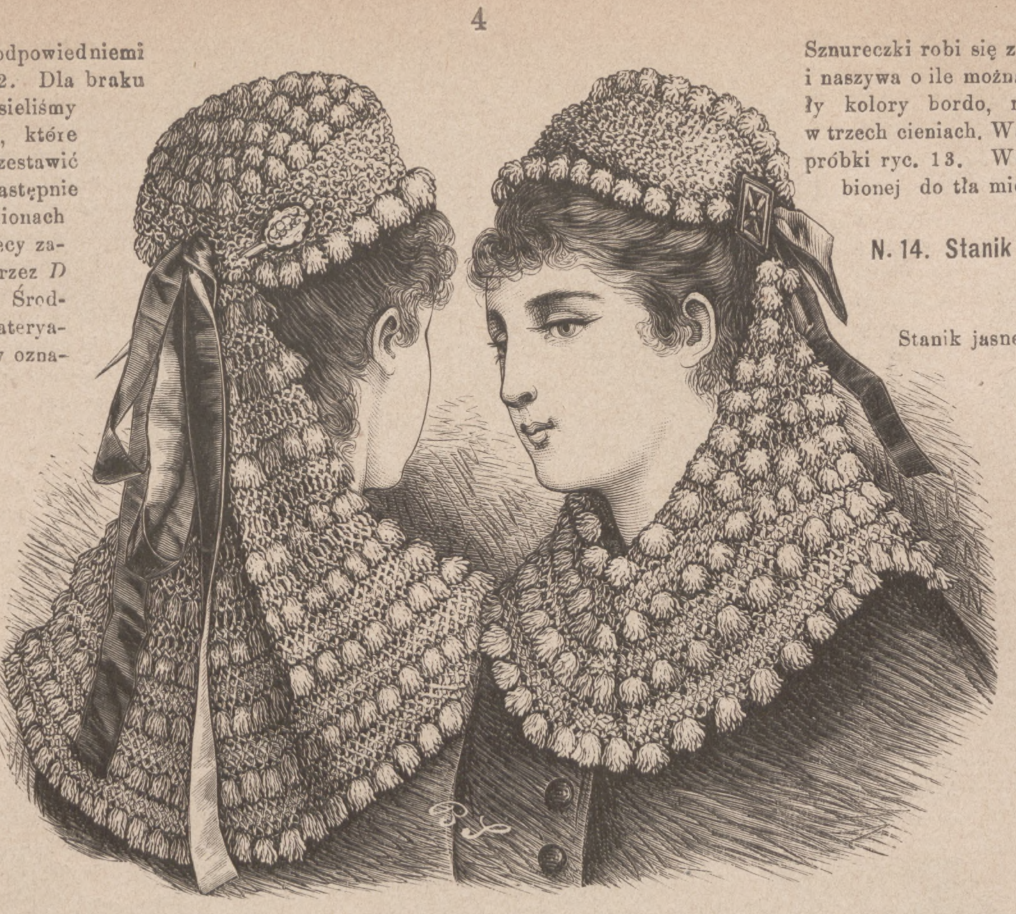
N. 10. Róża karmazynowa aksamitna z ciemnem jedwabnemi liśćmi.

N. 11. Wachlarz z piór pawich.

Taki wachlarz z łatwością można zrobić na okrągłym kawałku tektury, mającym 14 cent. średnicy, pokrytym z obu stron trzema rzędami mocno przyszywanych piórek. Piórka mają 18, 11 i pół i 7 cent. długości. Oprawa i rączka 22 cent. długa wyrobiona jest ze srebra filigranowego; w osadzie silnie trzymającej wachlarz z jednej strony wprawione jest lusterko 6 i pół cent. długie a 4 i pół szerokie, drugą stronę stanowi ładna tafelka filgrainowa.

N. 12 — 13. Serweta na stół, ozdobiona wyszyciem kolorowem i naszyta sznureczkami szydełkowemi.

Cała serweta może być zrobiona na płóciennej kanwie, lub tkana fabrycznie i ozdobiona kolorowem wyszyciem. Model trzymający 130 cent w kwadrat, miał środek fabrycznie tkany w gwiazdy, a na szlakach 15 cent. szerokich, deseń podany na Fig. 26 miał kontury robione włóczką crevel a środek zapełniony ściśle jeden przy drugim naszytemi sznureczkami szydełkowemi, obróconemi lewą stroną do wierzchu.



N. 24 — 25. Wenecka zarzutka na głowę. Robota szydełkowa. Patrz próbki ryc. 22 — 23.

Sznureczki robi się z pojedyńczej lub podwójnej włóozki i naszywa o ile można nieznacznie. Na modelu użyte były kolory bordo, niebieskie, lila, zielone i rezedowe w trzech cieniach. Wązkie brzeżne szlaczki odrobić podług próbki ryc. 13. We frendzli 11 cent. szerrkiej przyrobionej do tła mieszają się wszystkie kolóry włóczek.

N. 14. Stanik pół wycięty z krótkiemi rękawami do sukni balowej.

Stanik jasnej jedwhbnej sukni odznacza się pół głębokim wykrojem ogarnirowanym dwa razy koronką, do którego trzeba z przodu dodać szmizetkę. Rękawki krótkie garnirowane koronką, z jednej strony na staniku przypiąć gałązkę kwiatów lub kokardę ze wstążki.

N. 15. Stanik wycięty z plastronem szmizetkowym.

Do sukni balowej z jedwabnej gazy w rzucik na podwleczeniu z jedwabnej materyi, stanik wycięty, z tyłu sznurowany, z przodu ubrany jest materją, która od ramion wszyta stanowi w górze rodzaj bufowania, a dalej gęsto przemarszczana zwęża się bawetowo. Środek przodu zapełnia plastron zagarnirowany riuszami z jedwabnego tiulu. Wykrój pleców oszyty riuszą z materyi która z jednej strony zakończona jest gałązką kwiatów, z drugiej garnirunkiem i przepięciem wskazanem na ryc. 15.

N. 16. Krawat ze wstążki niebieskiej atłasowej, 11 cent. szerokiej, ozdobionej różnokolowemi bukiecikami haftowanemi na maszynie.

N. 17. Krawat ze wstążki serge 10 cent. szerokiej, ozdobiony na końcach bukiecikami haftowanemi ściegiem płaskim a deseń na arkuszu Fig. 23.

N. 18. Kosz na papiery ozdobiony lambrekinami.

Piękny kosz drewniany, robotą snycerską, ozdobiony jest lambrekinami wyszytemi na suknie koloru bordo podwójną filozelą.

d. n.



N. 26—30. Ubrania domowe.

N. 26—27. Ubranie z krótką tuniką i stanikiem z bawetową baskiną. N. 28. Suknia ze stanikiem bluzkowym i draperyą na spódnicy. N. 29. Ubranie z długą tuniką i bluzkowym stanikiem. N. 30. Sukienka z paletocikowem vêtement dla małej dziewczynki.